MYŚL NARODOWA

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VI. Nr 41 WARSZAWA, 15 GRUDNIA 1926 R. CENA NUMERU 1 zł.

OBÓZ WIELKIEJ POLSKI

SUMIENIE myślącego i czującego narodowo ogółu stwierdza, że zły uczyniliśmy użytek z odzyskanej niepodległości. Różne na ten wynik złożyły się przyczyny. Samo wskrzeszenie państwa wydawać się musiało, jak podarunek losu, przypadkowy rezultat pomyślnego zbiegu okoliczności. W walce potęg światowych nie wiele mogliśmy, jako naród w niewoli, rzucić na szalę. Dar przewidywania, świadoma celu polityka i wysiłki wytrwałe grona ludzi pod kierownictwem Romana Dmowskiego doprowadziły do odbudowania Polski w granicach, które przeciętna opinja traktowała jako utopijne marzenia. Ale społeczeństwo w swej całości, stojące zdala od tego trudu myśli i czynów, sądziło, że wygraliśmy los na loterji dziejów. To, co się nabyło w sposób przypadkowy, łatwo lekkomyślnie roztrwonić. Taki nastrój potęgował fakt, że głos decydujący w kształtowaniu nowej rzeczywistości polskiej uzyskały czynniki, których polityka w okresie wojennym zmierzała do zupełnie odmiennego rozwiązania sprawy polskiej. Nasuwał się przeto wniosek, że najryzykowniejsze, fantastyczne plany i czyny nie przynoszą szkody i że odpowiedzialność za eksperymenty na żywem ciele narodu nie istnieje.

A skoro niespodziewanie staliśmy się dziedzicami wielkiej fortuny, powstało dążenie do jej używania przez wszystkich. Państwo polskie miało zaspokoić wszelkie postulaty szerokich warstw. Państwo wydawało się zewnętrzną, poza obywatelami stojącą potęgą, którą można eksploatować. Między ludnością a państwem nie było organicznego związku. Ani stan moralny i kulturalny społeczeństwa, ani zasobność obywateli nie miały rzekomo związku z wartością i siłą państwa. I odwrotnie, nie zwracano uwagi na to, że postępowanie państwa może demoralizować społeczeństwo, osłabiać je moralnie, duchowo i ekonomicznie. Dlatego czynnik etyczny w życiu państwowem został zupełnie zlekceważony.

Trzeba więc przedewszystkiem zorganizować i urobić zdezorjentowaną, rozbitą opinję. I to jest jednem z zadań naczelnych powstającego dziś Obozu Wielkiej Polski. Metody jednak organizacyjne muszą być zgoła inne, niż dotychczasowe. Jasne jest bowiem, iż podłożem dzisiejszej bierności społeczeństwa nie jest jedynie zmęczenie wielkiemi wydarzeniami, ani ciężkie położenie materjalne większości inteligencji.

Przedewszystkiem działa w tym kierunku kryzys zaufania do dotychczasowej polityki. Społeczeństwo nie może dostrzec wśród koniecznych kompromisów na terenie sejmowym linji przewodniej, nie ma wiary w skuteczność dotychczasowych metod i taktyki. Nie chce słuchać obietnic, ani tak hojnie rzucanych, szumnych zapowiedzi. Nastroje wiecowe już nie wystarczają. Ogół chętnie wziął na siebie rolę widzów, uznając, że posłowie są specjalistami od działalności politycznej a władze państwowe mają podjąć zadania społeczne. Dogadzało to zamiłowaniu do bierności.

Otóż ta psychologja się zmienia i należy ją przełamać. Uczynić to można przez nadanie obozowi narodowemu nowych kształtów i przez uruchomienie, wydobycie na powierzchnię sił zdolnych do czynu.

Społeczeństwo cywilizowane nie może być tłumem, ulegającym przelotnym nastrojom, wytworzonym przez mniej lub więcej skrupulatnych agitatorów. Musi mieć uznanych kierowników, których słucha, autorytety, które poważa i którym ufa. Bolesne doświadczenie nauczyło je, że deliberacje i uchwały nie zastąpią planowo zorganizowanej działalności, że naiwnością jest szukanie jednostek, które mają w zanadrzu jakieś cudowne sposoby ratowania państwa. Szeroki ogół pragnie, aby był kierowany, aby mu dawano jasne wskazówki postępowania. Sparzył się na demagogach, którzy rozniecaniem namiętności i pożądań zdobywali sibie popularność. Sądzić można, że w życiu publicznem coraz więcej mierzyć się będzie wartość jednostek

ich rozumem i charakterem. Inteligencja, jako piastun ideałów narodowych, powinna odzyskać należne jej w społeczeństwie stanowisko.

Rywalizacje, różnice programowe i taktyczne wśród stronnictw narodowych, dla ogółu mają zupełnie drugorzędne znaczenie, gdy przed nim stoi zagadnienie kapitalne przyszłości Państwa i Narodu. Raczej sztucznie zaznaczają i podkreślają te różnice zawodowi politycy, aby usprawiedliwić rozproszkowanie partyjne. Tymczasem mocno ugruntowane przekonania nie wymagają wcale akcentowania rozbieżności, bowiem dla ludzi, nie żyjących chwilą bieżącą, taktyką, winna istnieć hierarchja celów. Przed zagadnieniami, decydującemi o losach narodu, ustępują różnice nie istotne.

Należy tylko w społeczeństwie rozbudzić wielkie aspiracje i czujność na grożące niebezpieczeństwo. Wszak żyjemy w okresie przygotowywania się Niemców do odwetu, do podniesienia sprawy Pomorza i Górnego Śląska, czyli grozi nam niebezpieczeństwo zejścia do roli trzeciorzędnego państewka, wasala Niemiec. Wszak nasza misja ugruntowania państwowości polskiej i kultury zachodniej na Kresach Wschodnich może być nieopatrznie zlikwidowana. Wszak nasz ustrój państwowy jest wogóle zakwestjonowany i podcięcie podstaw prawnych w życiu państwowem sprowadzić może anarchję oraz próby przewrotu, któryby wciągnął nas w orbitę bolszewickiej Rosji; wszak podmywane są przez barbarzyństwo filary, na których opiera się nasza przynależność do chrześcijańskiej cywilizacji zachodniej.

Jeżeli Obóz Wielkiej Polski potrafi wysunąć na pierwszy plan zainteresowania opinji te wielkie zagadnienia bytu pańswa i narodu, to inny ton zapanuje w aspiracjach społeczeństwa. Bowiem nawet zrozumiałe troski o sprawy codzienne, o poprawę bytu materjalnego nie mogą znaleźć należytego zrozumienia w atmosferze dzisiejszej. Przecież właśnie na ich tle rozwijały się i agitacja polityczna i zabiegi ustawodawcze. Ale te sprawy gospodarcze i społeczne, nie oceniane z punktu widzenia dobra narodowego, nie oglądane w świetle idej sprawiedliwości i solidarności społecznej, rozpatrywane w oderwaniu od całości zagadnień narodowych, rozstrzygane były tak, że dały wynik zupełnie różny od zamierzeń. Sprowadziły powszechną nędzę, upadek zamożności, zanik przedsiębiorczości i kapitału. Dawano bowiem posłuch agitatorom, a nie autorytetom.

Stawiając sobie za cel wydobycie z narodu jaknajwiększej siły dla stworzenia wielkiego państwa, tem samem Obóz Wielkiej Polski chce zapobiedz opanowaniu społeczeństwa przez żywioły, ulegające obcej komendzie, wciągnięte w międzynarodowe konspiracje. Zwycięska z niemi walka wymaga czujności i odwagi, charakteru i poświęcenia. Musi być do tego celu uzbrojona psychika działaczów politycznych. Każda jednostka postawiona na posterunku publicznym winna poczuwać się do odpowiedzialności za swoją działalność, a każdy obywatel dźwiga na sobie odpowiedzialność za losy narodu.

W stopniu wyższym, niż kiedykolwiek, w obecnem naszem położeniu, od czynnego zachowania się ogółu uświadomionych narodowo jednostek zależy nasza przyszłość. Wbrew zorganizowanej woli narodu postępować dzisiaj nie można, wola ta musi zatriumfować, byle tylko była zdolna do ujawnienia się w razie potrzeby. Jeżeli tyle zła, tyle nieprawości pleni się bezkarnie, to winna temu jest bierność społeczeństwa, zdającego sobie sprawę z szerzącego się rozkładu, ale nie przyzwyczajonego do samorzutnego reagowania na to, co jego poczucie moralne i prawne obraża. Dotychczasowa bierność, dziedzictwo niewoli, rozzuchwalała wszystkich, nie liczących się z nakazami etyki narodowej i publicznej. Czynna postawa odpowiedzialnych obywateli może rychło zatamować fale, podmywające naszą kulturę, i wyrwać z obojętności szersze masy, w których tkwią głęboko instynkty ładu społecznego. Chodzi o mobilizację żywiołów, czujących narodowo.

BOHDAN WASIUTYŃSKI

BILANS

PRZED ośmiu laty, kiedy Polska powstała, kraj, wyczerpany materjalnie i moralnie, w fakcie wyzwolenia znalazł nowe źródło siły i czynnie zamanifestował wolę niepodległości. Pierwiastki twórcze psychiki zbiorowej przezwyciężyły działanie czynników odśrodkowych, wówczas podsycanych celowo i doprowadziły do politycznego zjednoczenia narodu. Przywrócone zostały warunki, w których naród mógł odnaleźć jedność moralną i zrosnąć się organicznie.

Jednak od pierwszych dni niepodległości widać było, że nie wiemy, co począć z powszechnem rozbudzeniem zapału i energji, jak przeobrazić je w działanie celowe i rozumne. Budowanie państwa od podstaw wymagało skupienia wszystkich sił narodu. Siły te jednak rozstrzelono na walkę wewnętrzną, walkę nieskuteczną, bo nierozegraną. Podmiotowa niezdolność stronnictw i osób kierowniczych do porozumienia i przedmiotowa niemożność rozstrzygnięcia walki o władzę w państwie zaciążyły na całym dalszym rozwoju stosunków. Każda z wpływowych partyj posiadała dość siły, ażeby nie dopuścić innych do władzy, żadna nie była zdolna do ujęcia steru rządów w swe ręce i ponoszenia za nie odpowiedzialności.

Nie utrzymał się ani rząd Moraczewskiego, o wyraźnem obliczu politycznem, choć bez dostatecznego oparcia w społeczeństwie, ani rząd Witosa i Głąbińskiego, chociaż miał i program określony, i większość w Sejmie, i wystarczające zaufanie w społeczeństwie. W rezultacie ustaliła się zasada kompromisu dorywczego, nie wiążącego programowo, sprowadzającego się do targów o osoby — zasada kompromisu personalnego. Wytworzył się, sprzeczny z ustrojem parlamentarnym zagwarantowanym przez Konstytucję, system rządów nieodpowiedzialnych, bez opozycji i bez oparcia, rządów wszystkich i nikogo.

System ten zdemoralizował i rządzących i rządzo-

nych, zdezorganizował gospodarstwo społeczne. Był zbyt kosztowny i dlatego, gdy z końcem rządów Wł. Grabskiego doprowadził niemal do wyczerpania zasobów kraju, zachwiał się, wstrząsając jednocześnie samemi podstawami państwa.

W obliczu grożącej anarchji i odruchowych wystąpień społeczeństwa, czynniki polityczne zgodziły się na kompromis na szerszej, niż dotąd, podstawie, o charakterze bardziej, niż dotąd, rzeczowym. Powołano rząd koalicyjny Al. Skrzyńskiego. Nadzieje jednak, związane z ugodą stronnictw z listopada r. ub. zawiodły. Ugoda była spóźniona i połowiczna. Była smutną koniecznością, do której naród doszedł po siedmiu latach bezpłodnych swarów, nie zaś świadomym i swobodnym aktem woli, od którego winien był zacząć życie państwowe. Po paru miesiącach względnego spokoju i odkładania co ważniejszych spraw na później, kraj stanął znów przed koniecznością trwałego uregulowania stosunków i planowej przebudowy ustroju państwowego. Nastąpiła wówczas, znana z tragicznego zakończenia, próba oparcia rządów o zespół stronnictw, mających większość w Sejmie i, co najmniej, poważne poparcie opinji, stronnictw o pewnym wspólnym programie w polityce zewnętrznej, wewnętrznej, gospodarczej. Na to miejsce powstał w drodze majowego zamachu rząd, pozbawiony oparcia w Sejmie i poszukujący dopiero oparcia w społeczeństwie.

2. Spisek majowy dojrzał na podłożu ogólnego niezadowolenia z panujących stosunków.

Trafnie oceniając nastroje najszerszych kół społeczeństwa, ludzie przewrotu wysunęli hasło walki z panoszącem się złem społecznem, z korrupcją, samowolą urzędników, nierządem sejmowym. Mimo to naród w swej masie nie poszedł za nimi. Doświadczenia, poczynione w ciągu paru ostatnich lat, nauczyły go odnosić się z ostrożnością do szumnych haseł, działało poza tem poczucie porządności. W rezultacie tylko nieznaczna część społeczeństwa stanęła przy zamachu. Część mu się przeciwstawiła, olbrzymia większość zachowała się biernie, czekając wyników.

Ci, którzy zamach poparli, nie byli grupą jednolitą co do zapatrywań i dążeń pozytywnych. Zgodni całkowicie byli jedynie w negacji, w niezadowoleniu z istniejącego stanu rzeczy, we wspólnem pożądaniu zmian. W przewrocie majowym widzieliśmy dlatego, występujących łącznie, zachowawców ziemian obok radykałów chłopskich, socjalistów obok komunistów, „faszystujących“ piłsudczyków obok liberałów starej daty. W tych warunkach ograniczono się ogólnie do wypowiedzenia walki „nieprawości“, ujmując program sanacji, jako z a g a d n i e n i e m o r a l n e.

Zamach wszakże był zjawiskiem p o l i t y c z n e m. Walka ze „złem“ wyraziła się też w postaci walki z ludźmi, a jednostkami, które w rozumieniu uczestników przewrotu należało zwalczyć przedewszystkiem, byli ci wszyscy, którzy przeciwstawiali się przewrotowi. Zadanie uproszczono. Przywilej moralności zachowano dla swoich, winę „nieprawości“ zrzucono na przeciwnika. W ten sposób stosunki oczywiście zyskały na jasności, ale wpoczuciu ogółu pozostał niesmak po dokonanej „konwersji“ walorów etycznych na polityczne. Pomieszanie zaś dwu różnych dziedzin stosunków społecznych i dwu kategoryj pojęć, etyki i polityki wniosło p i e r w i a s t e k f a ł s z u do atmosfery, którą starał się otoczyć przewrót.

3. Pod względem politycznym zamach majowy trafił w próżnię. Przeciwnik po pierwszem niepowodzeniu militarnem wycofał się wprawdzie z walki, ale na placu pozostał. Nie przestał istnieć; jedynie z rzędu grupy rządzącej zeszedł do rzędu opozycji. Fakt ten zdecydował o ukształtowaniu stosunków pomajowych. Jak przed 13-ym maja, tak i po 15-ym maja stosunki te musiały rozwijać się po linji walki—aż do zwycięstwa— skłóconych żywiołów politycznych. Punktem wyjścia działalności pomajowej obozu przewrotu musiała pozostać troska o doprowadzenie do końca nierozegranej partji. Ludzie przewrotu, stając się rządem państwa, mieli w ten sposób do wypełnienia podwójne zadanie: urzeczywistnienie celu przewrotu i rządzenie państwem. Oba te zadania połączyli w jedno, wysuwając tezę, że jest wręcz „koniecznością bytu Polski, by narodowa demokracja, bojowa p r z e d s t a w i c i e l k a n a c j o n a l i z m u, (podkr. nasze) w naistotniejszym interesie państwa polskiego została sprowadzona z roli reprezentatki większości narodu polskiego do grupy w stylu *Action française* we Francji czy Hittlerowców w Niemczech“. (Dr. O. G. w tygodniku „Głos Prawdy“ z d. 14 listopada).

Cel bezpośredni, o ile nie ostateczny, przewrotu, z n i s z c z e n i e n a c j o n a l i z m u p o l s k i e g o, pozostał tedy w sytuacji pomajowej celem zasadniczym działalności kół rządzących.

Działalność ta, już jako pozytywne akty władzy państwowej, siłą rzeczy przyjęła kierunek n e g a t y w n y, wywodząc się z przesłanki negatywnej — walki dla walki, dla z w a l c z e n i a przeciwnika.

Stało się tragedją przewrotu, iż pomimo zwycięstwa zawsze tworzył nie po to, ażeby coś tworzyć, lecz przedewszystkiem, ażeby c o ś burzyć, c o ś niszczyć, przeciw c z e m u ś zakładać veto.

Wszystko tedy czynione było z e w z g l ę d u n a k o n i e c z n o ś c i s t r a t e g i c z n e d a l s z e j w a l k i. Dlatego np. reforma ustroju politycznego państwa rozwiązana została połowicznie ale szybko, dlatego nie poprzestano na ograniczeniu sejmowładztwa, ale posunięto się do poniżenia Sejmu i samej nawet zasady przedstawicielstwa narodowego. Dlatego władzę wykonawczą wyposażono w atrybuty władzy ustawodawczej. Dlatego tyle czasu i sił poświęcono „reorganizacji“ urzędów. Dlatego przeciwstawiono się wyraźnym życzeniom ogółu i nie rozpisano nowych wyborów do Sejmu. Dlatego wydano antyliberalny dekret prasowy. Stąd wywodzi się Nieśwież. Stąd też poszedł „renesans“ aktywizmu w stronnictwie konserwatywnem Ks. Janusza Radziwiłła. Stąd czerpały natchnienie pseudo-nacjonalistyczne artykuły programowe w „Głosie Prawdy“ („Maskarada“, „Czkawka liberalizmu“). Stąd nagły entuzjazm do faszyzmu.

Tym negatywnym w swej istocie zadaniom poświęcili wszystkie swe siły ludzie przewrotu majowego, widząc największe zło w silnym nacjonalizmie polskim, a w walce z nim „j e d n ą z w i e l k i c h p o l s k i c h *u l t i m a r a t i o*“. (j. w. „Głos Prawdy“)

4. Obóz zwalczany zajął oczywiście wobec tych wrogich względem siebie wystąpień stanowisko odporne. Jądro obozu, zdecydowanie nacjonalistyczne, przeszło do opozycji stanowczej, nie mniej jednak ustosunkowało się w sposób rzeczowy do bieżących spraw państwowych, m. im. wysuwając z racji zmiany Konstytucji szeroki program reform ustrojowych. W zasadzie więc stwierdzić wypada, iż opozycja narodowa przy całem swem nieprzejednanem stanowisku wobec przewrotu, z faktu przewrotu stara się wyciągać konsekwencje pozytywne.

Jednakże wśród szerokich, mniej świadomych politycznie, kół narodowych dały sie dostrzec niepokojące objawy mimowolnego ulegania fali przewrotu, polegające na biernem oczekiwaniu niemożliwego powrotu do stosunków przedmajowych, narzekaniu próżnem na

rzeczywistość, opozycyjności z zasady i negacji wszystkiego, co w jakikolwiek bądź sposób mogło wiązać się z przewrotem. Tak więc niektórzy dla zadośćuczynienia swym nastrojom opozycyjnym gotowi byli przeciwstawiać się zdrowemu w zasadzie dążeniu do wzmocnienia władzy wykonawczej, inni znów nieomal z nienawiścią spoglądać zaczynali na mundur oficera polskiego, ponieważ część armji użyta została podczas przewrotu jako narzędzie techniczne zamachu. Nastroje te szerzyły się i mogły się stać coraz bardziej niebezpieczne, tamując rozwój twórczej myśli narodowej i zdolność do czynu.

Jednocześnie zaś stwarzały one powody do twierdzenia, iż obóz narodowy, jeśli chodzi o pewne koła jego sympatyków, dotknięty jest również chorobą negacji.

5. Negatywne nastawienie naszego życia politycznego, które w ostatnich czasach ujawniło się w całej pełni, było główną przyczyną tej anarchji moralnej, w jakiej pogrążyliśmy się jako naród i społeczeństwo. Więź narodowa osłabła. Czynniki odśrodkowe w psychice społecznej zyskały przewagę. Naród poczuł się rozbrojony wewnętrznie. Wydarzenia ostatnich miesięcy poróżniły go ostatecznie. Między władzą powołaną do kierowania społeczeństwem, a samem społeczeństwem stanął mur nie do przebycia. W organizmie narodowym widać wyraźne objawy ogólnego rozprężenia.

Tak w ostatecznym wyniku wypada nasz „bilans polityczny“ za ośmiolecie niepodległości i półrocze historji „pomajowej“.

W bilansie tym jest jednakże jedna pozycja dodatnia. Jest nią to, na co szczególną zwrócił uwagę uczestników Zjazdu organizacyjnego Obozu Wielkiej Polski — Roman Dmowski, posiadający dziś najwyższą niewątpliwie w Polsce świadomość idei narodowej i wyczucie dążności politycznych narodu polskiego — zdrowy instynkt samozachowawczy narodu.

Instynkt ten pozwala rokować, że przyszłość będzie lepsza, niż była przeszłość — pod warunkiem, że pójdą za jego głosem świadome czynniki polityczne i skupią swe siły dla pracy twórczej, konstrukcyjnej, pozytywnej przez co sama walka, będąca w życiu społecznem faktem nieuniknionym, stanie się twórczym czynnikiem rozwoju.

Będzie to walka określonych ideologij i programów, nie zaś powszechna waśń ludzi. NOVUS

Z DZIEJÓW MASONERJI

II

ANGLJA, klasyczny kraj — jak to się zwykło mówić — wszelkiego konstytucjonalizmu, jest również kolebką „Konstytucji“ masońskiej. Wyrosła ona tam w atmosferze anglikańsko-pastorskiej i została napisana przez pastora Andersona w 1723 roku. Książka tego prawodawcy wolnomularstwa, nosząca tytuł: „*The Constitutions of the freemasons*“, stała się rodzajem Biblji dla całego bractwa.

Znajduje się w niej następująca „deklaracja zasad“:

„Mason obowiązany jest być posłusznym prawu moralemu i jeśli rozumie dobrze swoją sztukę, niema być nigdy ateuszem bezmyślnym, ani libertynem bezreligijnym. Aczkolwiek, w czasach dawniejszych, masoni podlegali w każdym kraju obowiązkowi wyznawania jego religi, jakąkolwiek była — to jednakże odtąd uznano za bardziej właściwe nie narzucać im innej religji, jak tylko tę, co której wszyscy ludzie są zgodni — i pozostawić im wszelką swobodę ich opinij poszczególnych; ważną jest przeto rzeczą, żeby byli dobrymi, lojalnymi ludźmi honoru i ludźmi rzetelnymi, bez względn na różnice ich wyznania i wierzenia. W ten sposób Masonerja staje się Ogniskiem Łączności i środkiem ustalenia szczerej przyjaźni pomiędzy jednostkami, które bez tego pozostałyby na zawsze sobie obcemi“. (Str. 22. A. Lantoine).

W dwa stulecia później, na jednym z powojennych zjazdów masońskich, delegaci Francji („W. Wschód“ i „W. Loża“), Nowego - Yorku, Wiednia, Belgji, Bułgarji, Hiszpanji, Holandji, Portugalji, Włoch, Szwajcarji i Turcji, zebrani w Genewie 1921 r., podpisali znów taką „deklarację zasad“:

„Wolnomularstwo, instytucja tradycjonalna, filozoficzna i postępowa, oparta na uznaniu zasady, iż wszyscy ludzie są braćmi, ma na względzie poszukiwanie prawdy, badanie i praktykowanie moralności oraz solidarności. Oddaje się ona pracy zarówno nad polepszeniem materjalnem i moralnem, jak i udoskonaleniem intelektualnem i społecznem Ludzkości.

Wyznaje ona zasady tolerancji wzajemnej, szacunku bliźnich i siebie samego, swobody sumienia. Obowiązkiem jej jest rozszerzyć na wszystkich członków Ludzkości te więzy braterskie, jakie łączą wolnomularzy na całej powierzchni świata. Uważając pracę za jeden z zasadniczych obowiązków człowieka, Wolnomularstwo zarówno czci pracę ręczną, jak i pracę intelektualną. Tworzy ono zatem stowarzyszenie ludzi uczciwych, wolnych, poświęcających się, związanych uczuciem wolności, równości i braterstwa, pracujących z osobna i zbiorowo dla postępu społecznego, praktykujących w ten sposób Dobroczynność w najwznioślejszem tego słowa znaczeniu“ (Str. 418).

Obiedwie te deklaracje wolnomularstwa światowego, jak widzimy, mało się różnią co do istoty rzeczy od siebie. Jak dawniej, w początkach swoich, tak i dzisiaj, po paru wiekach zorganizowanego istnienia, masonerja głosi swobodę sumienia, wyznaje zasadę tolerancji, dąży do braterstwa powszechnego i pragnie udoskonalić pod każdym względem ludzkość, etc...

W powyższych zasadach spoczywają zatem te „idee i uczucia“, ktore wiążą ogół masonów w jedną całość, rozwijającą się harmonijnie, pomimo te lub inne różnice, istniejące pomiędzy jej częściami. Zdajmy sobie teraz sprawę z tego, jak te niezmienne, programowe „uczucia i idee“ wolnomularskie były wcielane w życie; czy ci ludzie „lojalni, uczciwi, honorowi“ jakich stowarzyszeniem mieni się masonerja — pracowali w zgodzie z niemi dla udoskonalenia ludzkości.

Zasada tolerancji wzajemnej i swobody sumienia, od początku—jak to wykazuje p. Lantoine (str. 28 — 36) — tak była stosowana w Anglji, w kolebce wolnomularstwa, że właściwie redukowała się do zapewnienia przewagi protestantyzmowi.

„Powszechnie mniemają—powiada Lantoine—że założyciele wolnomularstwa pragnęli stworzyć łącznik pomiędzy wyznaniami, nadewszystko pomiędzy dwoma rozgałęzieniami chrześcijaństwa, a przynajmniej rodzaj porozumienia pomiędzy niemi — w naszem mniemaniu jednak chcieli oni przedewszystkiem znaleźć teren neutralny, zanim by mogli zapewnić tam przewagę wpływowi protestanckiemu“ (str. 34).

Gdy wogóle w krajach protestanckich przewaga ta została osiągnięta, masonerja w nich rozwija się w zgodzie z religją panującą, przeciwstawiając się nawet „wolnomyślicielstwu“, szerzącemu się w lożach krajów katolickich. Masonerja krajów protestanckich, wiedzie z masonerją „Wielkich Wschodów“ krajów katolickich ostry spór o „Wielkiego Budowniczego światów“, nie toleruje uchybień przeciw niemu, zrywa nawet z tego powodu „braterskie“ stosunki z lożami

„Wielkiego Wschodu“, a jednocześnie przygląda się z lubością zaciętej walce tychże z Kościołem Katolickim. Wszelkiego rodzaju sekty religijne, choćby najniedorzeczniejsze i najbardziej zacofane, cieszą się względami masonerji: do nich przedewszystkiem stosuje ona swoją programową zasadę tolerancji — nie uznaje jej natomiast w stosunku do jednego tylko Kościoła rzymsko-katolickiego.

Przekonajmy się jednak przedewszystkiem, czem jest sama masonerja pod względem intelektualnym, jakiej doktryny filozoficznej jest rzeczniczką? Dajmy tu głos ludziom, którzy zajmowali się tą sprawą, i poznali „ideologję“ wolnomularską, bodaj własnego doświadczenia.

„Program intelektualny masonerji krajów łacińskich jest jeszcze—powiada Gaetano Masea, profesor prawa konstytucyjnego w Turynie — niewątpliwie programem Encyklopedystów francuskich osiemnastego stulecia: wychodzi on z założenia, że ludzkość jest zdolna do nieskończonego postępu fizycznego, moralnego i intelektualnego, i że tylko ignoracja oraz przesądy przeszkodziły w przeszłości iść bez przerwy po tej drodze. Aby zaradzić tym przeszkodom, masonerja stawia sobie za cel walkę z ciemnotą, rozszerzenie światła wiedzy i niszczenie przesądów, za które uważa wszystkie religje, oparte na dogmacie i objawieniu“, (p. „*Inchiesta sulla Massoneria*“. Ankieta o Masonerji. Milano 1925 r.).

W tejże „Ankiecie“, Paolo Orenio, jeden z wybitniejszych literatów włoskich, stwierdza, że „filozofja“ masonerji (włoskiej przynajmniej) jest „mieszaniną wszelkich idej przeciętnych, uczuć płytkich, ideałów naiwnych, chociaż hałaśliwych. Mazzini, (którego zresztą masoni mało czytają), pani Blawatska, Büchner, Giordano Bruno, resztki karbonaryzmu, strzępy „Młodej Italji“, frazesy Wiktora Hugo, Woltera, etc... W gruncie rzeczy jakaś zatęchła starzyzna!“ (str. 171).

Na dwustu z górą uczestników wspomnianej ankiety, wśród których nie brak nikogo z ówczesnej elity umysłowej włoskiej (ankieta z 1913 r.), a nie jeden należał do organizacji masońskiej, prawie wszyscy odzywają się lekceważąco o „*credo*“ filozoficznem wolnomularstwa. Wszyscy prawie stwierdzają, że doktryneryzm masoński wahał się wciąż pomiędzy racjonalizmem materjalistycznym a teizmem i spirytualizmem dość mglistym, w części z powodu braku określonego kierunku ideowego i małego interesu dla zagadnień prawdziwie filozoficznych, w części z powodu ekonomji myślenia oraz chęci przedstawienia masom doktryny, dającej się łatwo sformułować.

„Zatęchła starzyzna“, „mierność dochowa“, „oportunizm“ i t. p., — oto określenia używane przez badaczów masonerji, gdy mowa o wartości jej ideologji. Jakże więc ona, będąc sama tak ubogą, płytką i wsteczną, mogła się przyczyniać do „doskonalenia“ ludzkości pod względem intelektualnym?

To może jest także jedną z tajemnic masonerji; dla nas jednak jest rzeczą jasną, że kto pozostaje w sprzeczności z nowożytną myślą filozoficzną, ze świadomością współczesną, ten do podnoszenia poziomu intelektualnego ludzkości nie może mieć pretensyj, — ten raczej jest szerzycielem obskurantyzmu. Że tak jest w rzeczywistości, świadczy o tem nietylko to, że ta „postępowa“ instytucja, za jaką pragnie uchodzić masonerja, intelektualizm swój opiera na podstawie doktryn filozoficznych XVIII wieku, przezwyciężonych przez myśl współczesną, lecz i to, między innemi, że współdziała w „doskonaleniu“ intelektualnem ludzkości z najbardziej nieokrzesanemi i gruboskórnemi sektami, jak nasi marjawici np., jak „badacze pisma świętego“ i t. p., że pominiemy wszelkie stowarzyszenia teozoficzne, ezoteryczne etc., któremi gorliwie się opiekuje.

Zasługi masonerji na polu „polepszania“ ludzkości pod względem moralnym przedstawiają się nielepiej.

Masonerja jest zwolenniczką moralności uniwersalistycznej, solidarności i braterstwa wszechludzkiego. Wprawdzie potrzebę drugiej moralności uniwersalistycznej, niebardzo odczuwał świat cywilizacji chrześcijańskiej, który od dziewietnastu wieków posiada taką moralność, — ponieważ jednak masonerja nie uznaje dogmatów, a zatem i moralności na nich opartej, zaproponowała więc ludzkości swoją, bezdogmatyczną moralność.

Być może, iż tam, gdzie chodziłoby o interesy abstrakcyjnej ludzkości, uniwersalistyczna etyka masońska byłaby rodzicielką czynów wysoce moralnych, niezwykle szlachetnych.

Niewątpliwą wszakże jest rzeczą że tam, gdzie chodziło o sprawy konkretnych istności ludzkich o sprawy tego lub innego narodu, to tu moralność masońska stawała się nierzadko źródłem czynów zdrożnych i haniebnych, wiodła do praktykowania kłamstwa, przeniewierstwa, zdrady.

I nie może być inaczej tam, gdzie jakaś organizacja stawia siebie ponad organizację danego państwa i narodu, swoje interesy oraz cele uważa za ważniejsze i wznioślejsze od ich interesów i celów, swoje hierarchje za wyższe i miarodajniejsze od tych, jakim w każdym kraju obowiązani są podlegać wszyscy jego obywatele.

W ideologji masońskiej pojęcie abstrakcyjnej ludzkości jest wyższe od pojęcia narodu i ojczyzny; stąd też moralność masońska stawia na pierwszem miejscu obowiązki względem takiej ludzkości, na drugiem zaś względem własnego narodu. Jakież to pociąga za sobą skutki w życiu moralnem jednostek? W najlepszym razie stwarza to zamęt w ich sumieniach, prowadzi do konfliktów, z których wyjścia poszukuje jednostka ludzka na drodze sofistyki oraz sztucznego, nieszczerego godzenia rozmaitych sprzeczności.

Dobrze jeszcze, gdy członek masonerji nie jest jednocześnie funkcjonarjuszem państwa, którego jest obywatelem, gdy nie zobowiązuje go względem niego złożona przysięga. Wówczas może usypiać swoje sumienie narodowe wykrętnem rozumowaniem i pracę dla dobra utopijnej ludzkości uważać za najwznioślejszy wysiłek dla dobra konkretnego, historycznego narodu.

Ale gdy mason jest funkcjonarjuszem swego państwa, gdy przysięgał mu wierność i posłuszeństwo? Wówczas staje się kłamcą i przeniewiercą, składając bowiem przysięgę państwową traktował ją jako nieważną dla siebie, gdyż obowiązuje go przedewszystkiem ważniejsza, ta którą złożył władzy masońskiej. A jak się musi odbija taki stan rzeczy na moralności jednostki i nażywotnych interesach państwa i narodu,— o tem dzieje dużo składają ciekawych dowodów.

Moralność masońska, upoważniająca adeptów swoich do krzywoprzysięstwa, podkopuje podstawy organizacji państwowej, wytwarza potworne stosunki w tych zwłaszcza instytucjach państwa, których duszą winno być poczucie honoru oraz dyscyplina. Co z tych dwóch fundamentów każdego wojska narodowego potrafiła nieraz uczynić propaganda masońska, do jakiego zaniku poczucia honoru i rozluźnienia dyscypliny doprowadziła armję, słynącą z jednego i drugiego, o tem

pouczają nas dzieje Francji. Poprzestanę tutaj na faktach z ostatnich czasów, które głośne były w całym świecie. Wszyscy pamiętają skandal t. zw „*fiches de delation*“ ministra wojny, generała André, który do wojska wprowadził system szpiegostwa i delatorstwa, nie awansował oficerów chodzących do kościoła, usuwał z armji ludzi wielkiej zasługi i niepospolitych zdolności, odznaczając i wysuwając na wysokie stanowiska miernoty wszelkiego rodzaju.

Do jakiego stopnia rozstroju doprowadził wówczas armję francuską mason André, posłuszny „prawu moralnemu“, o tem zaświadczył najwymowniej sam szef rządu, Rouvier, który usprawiedliwiając się przed Izbą w 1905 r. dlaczego był zmuszony uledz naciskowi Niemiec, domagających się dymisji ministra spraw zagranicznych Delcassé'go, wyraził się w ten sposób: „André i Pelletan (ówczesny minister marynarki) uniemożliwili nam to, byśmy mogli się narazić na ewentualność wojny“.

Na podobny rozstrój dzięki propagandzie masońskiej narażona była armja włoska na schyłku ubiegłego wieku i w pierwszych latach bieżącego, co też wpłynęło na jej niepowodzenia w Afryce (mówi o tem szeroko w rozprawie „*La Massoneria nell'esercito*“ Luigi Federzoni w książce swojej „*Paradossi d'odri*“).

Przytaczam tu jeszcze epizod z dziejów wojny angielsko-boerskiej, gdyż rzuca on niezwykłe światło na moralność masońskiej „solidarności i braterstwa“. Generał Botha mógł zniszczyć kilkodziesieciotysięczny korpus angielskiego generała Bullera, podczas jego przeprawy przez rzekę Tugelę, ku zdumieniu jednak wszystkich nie zrobił tego, niechciał bowiem, będąc masonem, narazić „brata“ Bullera na podobną klęskę... Wygląda to na anegdotę, jest jednak niezaprzeczonym faktem, którym szczyci się masonerja angielska. (p. „*The Freemason's Chronicle*“, 1902 r. II. str. 133). Tak więc wzniośle, że sięga to aż szczytów pospolitej zdrady, pojmują masoni swoje obowiązki względem Ojczyzny.

Etyka solidarności i braterstwa międzynarodowego upoważnia do nie mniej wzniosłych działań w dziedzinie polityki.

Deputowany Emilio Bodrero, referent ustawy o tajnych stowarzyszeniach, uchwalonej w zeszłym roku przez Izby Włoskie, w mowie swojej, wypowiedzianej w Parlamencie, charakteryzując ponadpaństwową i antynarodową działalność masonerji, powołuje się między innemi na postanowienia Kongresu masońskiego państw sojuszniczych i neutralnych, który się odbył r. 1917 w Paryżu. Na Kongresie tym przesądzono już z góry o wynikach przyszłej konferencji pokojowej, a w atmosferze „solidarności i braterstwa“ delegaci Włoch, naciskani po bratersku, zgodzili się na zredukowanie pretensyj włoskich tylko do Trydentu i Tryjestu. Na takiem stanowisku stanęła później konferencja pokojowa. Rząd faszystowski, jak wiadomo, od szeregu lat zajęty jest odrabianiem tych strat, na jakie Włochy zostały narażone wskutek uległości swoich delegatów wobec postanowień, zapadłych na kongresie masońskim z 1917 r. W polityce masońskiej powojennej mamy aż nadto faktów działalności antypaństwowej. Dość tu wspomnieć choćby o tem, że „Wielki Wschód“ Francji (a także „Wielka Loża“)—domaga się ewakuacji zagłębia Ruhry oraz ciągłych ustępstw na rzecz Niemiec. Metody masońskie „doskonalenia“ ludzkości pod względem społecznym do zbyt budujących również nie należą,—zasadzały się bowiem z początku na kokietowaniu i współdziałaniu z czynnikami przewrotu społecznego, a kończyły się na małodusznej dezercji z pola bitwy, na poświęceniu interesów państwa i narodu, w chwili triumfu żywiołów dezorganizacji społecznej.

Tak więc wszechstronne „doskonalenie“ ludzkości, które w programie masonerji ma być głównym jej zadaniem, jej racją bytu, było w rzeczywistości pretekstem, by pod osłoną tajemnicy uprawiać *sui generis* „filantropję“, polegającą na popieraniu się wzajemnem, na dopomaganiu członkom bractwa w osiąganiu ich celów osobistych, poziomych i nie zawsze czystych. Władzę w państwie zdobywała masonerja po to, by tego rodzaju filantropję módz praktykować w jaknajszerszej mierze. Tak się przedstawia „dobroczynność w najwznioślejszem tego słowa znaczeniu“, o jakiej prawią manifesty wolnomularskie.

Co taka dobroczynność ma wspólnego z „lojalnością, uczciwością i honorem“, do czego organizacje masońskie roszczą stale pretensję,—nie łatwo to zrozumieć.

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

CZY CONRAD JEST PISARZEM POLSKIM?

III. CONRADOWSKI POGLĄD NA ŚWIAT

PORÓWNYWAJĄC Conrada z jego angielskimi kolegami po piórze, inną jeszcze spostrzeżemy różnicę, mówiącą o cudzoziemskiem pochodzeniu tego pisarza. W jego twórczości nie znać przynależności autora do żadnej z angielskich warstw czy czy grup społecznych, do żadnego z obozów ideowych czy politycznych. Obok kolegów swych Conrad wydaje się tylko literatem, piszącym po angielsku; tamci zaś, to nietylko literaci, lecz także członkowie lub zwolennicy kierunków, obozów, partyj, reprezentanci warstw i grup społecznych, posługujący się ich słownikiem, mający ich sposób myślenia, dzielący ich uprzedzenia i poglądy. Conrad stoi właściwie poza społeczeństwem, którego tamci są przedstawicielami; kocha Anglję, lecz kocha ją lojalnie, nie stara się wydać więcej angielskim, niż jest. Opiewa chwałę historyczną Anglji, lecz nie usiłuje pokryć swej cudzoziemskości manierą wychowanka Harrow, czy Oxfordu, ani nie czuje się uprawnionym do występowania w roli chwalcy albo krytyka życia angielskiego. Bohaterowie jego, to jednostki li tylko, — reprezentują może cnoty zawodu lecz nie reprezentują nigdy ducha organizacyj czy grup, jak bohaterowie Kiplinga, Wellsa, Vachella, Galsworthy'ego, Bennetta i innych pisarzy, Anglików rodowitych. Język postaci conradowskich też jest bez porównania bardziej literacki, mniej zaprawiony *slangiem* i wogóle formami wysłowienia, właściwemi pewnym tylko warstwom i środowiskom społecznym.

Conrad, który, jak to widać z jego szkiców krytycznych, nieraz rozmyślał nad zagadnieniem pierwiastków narodowych w literaturze, dlatego właśnie przyznawał rangę pisarzy narodowych autorom takim, jak Turgeniew, czy Maupassant, że cenił w nich malarzy obyczaju. Oto jak mówił o francuskości Maupassanta:

„Sławę ma Maupassant światową, lecz popularność jego jest ograniczona. Przyczynę tego łatwo wskazać. Maupassant jest pisarzem intensywnie narodowym. Tak intensywnie narodowy jest w swej lo-

gice, jasności, ideach estetycznych i moralnych, że został przyjęty przez rodaków, choć nie płacił haraczu pochlebstwa ani narodowi, jako całości, ani żadnej klasie, warstwie, czy odłamowi narodu. Prawda jego sztuki działa nieodparcie, zwolniony więc jest od obowiązku przybrania pozy patrjotycznej. To Francuz z krwi i kości ponad wszelką wątpliwość...“

Jeśli te same kryterja zastosować do sztuki Conrada, uznać wypadnie, że mimo swej miłości Anglji— był to jeden z najmniej angielskich luminarzy piśmiennictwa angielskiego.

Wspomnieliśmy wyżej o sprzecznościach w pisarzu, powodujących niejednolitość wewnętrzną jego postaci duchowej. Ponieważ elementami polskimi w jego dziele są właśnie tradycyjne wartości obyczajowo-moralne, przeto czynniki negacji, trawiące żywioł owych wartości, osłabiać muszą także polskość wewnętrzną conradowskiego dzieła. Rozdźwięki te wprawiają w zakłopotanie czytelnika, któremu trudno pojąć, czemu obok motywów odpowiedzialności, wierności, poświęcenia pobrzmiewają motywy, stanowiące kontrast ideowy z tamtemi. Sprzeczności te nie dadzą się pogodzić, lecz do pewnego stopnia zrozumieć je można, jako konsekwencje conradowskiego na świat poglądu.

W podstawie poglądu tego leży konflikt między bezsensownym, okrutnym porządkiem — czy też bezładem—rzeczy we wszechświecie, a duszą ludzką z jej poczuciem honoru i rycerskości, z jej wielkodusznością i miłosierdziem.

Na tle tego konfliktu wywiązują się przeżycia dwojakiego rodzaju. Z jednej strony walczy Conrad w imię wartości duszy ludzkiej, sławi rycerskość bezinteresowną, wierność, która sama sobie jest nagrodą, obowiązkowość i odwagę, które nakazuje przedewszystkiem szacunek człowieka dla siebie samego, z drugiej zaś strony wykazuje okrucieństwo życia, śmieszność i niemoralność porządku świata, nad którym nie widzi zaświatów metafizycznych. Nic nie skłania Conrada do panteistycznych zachwytów nad przyrodą; charakterystyczne, że w morzu uderza go tak często głupota i bezmyślność tego żywiołu.

Naturalną reakcją pisarza jest ironja filozoficzna, nie mająca nic wspólnego z humorem. Pogodna śmieszność rzeczy i zdarzeń w humorze wynika stąd, że bezładność, niecelowość żartem brana jest serjo, że jest pozorna, znajduje bowiem swoje rozwiązanie w jakiejś wyższej płaszczyźnie, gdy tymczasem ironja naigrawa się nad okrutną śmiesznością rzeczy i zdarzeń, płynącą stąd, ze konflikty i tragedje widziane są już, jako rozwiązania, przy całej swej niedoskonałości, ostateczne.

„Etyczne pojmowanie świata“—wykłada Conrad w *Personal Record* — „grąży nas ostatecznie w tylu okrutnych i śmiesznych sprzecznościach, w których łatwo zginąć mogą resztki wiary, nadziei i miłosierdzia, a nawet rozumu, iż podejrzewam, że cel świata nie ma wcale charakteru etycznego.—Chętniebym wierzył, że jedynym celem świata jest: być widowiskiem... To widowisko... jest celem moralnym samo w sobie.. Reszta, to już rzecz nasza; śmiech, łzy, tkliwość, oburzenie, wyniosły spokój opancerzonego serca, oderwana ciekawość subtelnego umysłu...“ To też jednostka może wzruszać się, poświęcać, lub też zachować wobec wszystkiego całkowitą obojętność. W każdym razie nikomu nie potrzebuje zdawać sprawy ze swoich czynów. „Zamiar taki byłby nietylko śmieszny i niepotrzebny, lecz omal niewyobrażalny w świecie, mającym wyłącznie znaczenie widowiska, gdzie taka nieprzyjemna konieczność powstać nie może“.

Trudno, by w takim świecie praca pisarza miała charakter służby narodowej. Pisarz poprostu zajmuje swoje miejsce „wśród królów, demagogów, kapłanów, szarlatanów, książąt, żyraf, ministrów, członków związku Fabianów, murarzy, apostołów, mrówek, przyrodników, Kafrów, żołnierzy, marynarzy, słoni, prawników, gogusiów, bakteryj i gwiazdozbiorów we wszechświecie, którego widok zdumiewający jest celem moralnym sam w sobie“.

Zgodnie z wyżej wyrażonemi (w formie pół-żartobliwej) poglądami, dobrał Conrad *motta* do niektórych utworów. „Les petites marionettes font, font, font, trois petits tours, et puis s'en vont“ wypisał na czele cyklu Sześciu Opowieści, a przed innym zbiorem (Między Lądem a Morzem) postawił słowa Simonsa: „Życie jest tragicznem głupstwem“.

Nieufność do życia i pragnienie niezależności wewnętrznej skłaniają niektórych bohaterów Conrada do odsunięcia się od spraw życia na stanowisku obserwatorów — a i tu nie kres ewolucji. „Dawniej myślałem, że inteligentna obserwacja faktów jest wszystkiem- a teraz dalej jeszcze poszedłem w negacji“ — oświadcza Heyst, najznakomitszy z wyobrazicieli conradowskiego sceptycyzmu. Potomek ten arystokratycznej rodziny szwedzkiej jest zapewne tyleż Szwedem, ile Marlowe — postać, napoły autobiograficzna — Anglikiem, — a Marlowe sam ostrzega wyraźnie, że wcale nie jest można go uważać za przedstawiciela psychologji anglosaskiej. Heyst chce przejść przez życie, jako widz jedynie i tułacz, z żadnem miejscem nie związany, opuszcza więc Ojczyznę na zawsze, by wędrować wśród wysp archipelagu Malajskiego.

„Conrad“ — pisze Hugh Walpole — „twardo i mocno wierzy, iż życie, to przeciwnik człowieka zbyt silny, mądry i nieubłagany. Lecz, Bogu dzięki, można także inaczej się na tę sprawę zapatrywać, to też niewątpliwie najbardziej szkodzi twórczości Conrada ta stała myśl o marności walki człowieka z losem“ [*Joseph Conrad*, 98].

Ideologja, która doradza jednostce oderwanie się od Ojczyzny dla obrony przed życiem, jest niewątpliwie wyrazem pewnej pustki duchowej i z konieczności dezorganizować musi jednostkę moralnie. Ciekawe jest zaobserwować, które z tradycyjnych wartości moralnych nie podlegają jednak zakwestjonowaniu w tym procesie. Otóż kanony, które nigdy nie tracą swojej mocy obowiązującej, to nakazy rycerskości i miłosierdzia.

Nie sprzeniewierzy im się Heyst nawet w walce z wrogami, nie znającymi skrupułów. Położenie jego pogarsza jeszcze zdrada służącego, Chińczyka, który w krytycznej chwili pozbawia swego pana jedynej broni, kradnąc mu rewolwer. Conrad zarysowuje bardzo ciekawie kontrast pomiędzy Heystem, a Wangiem. Chińczyk rządzi się jedynie „instyktem samozachowawczym, któremu nie bróżdżą żadne pojęcia romantycznego honoru, ani skrupuły delikatnego sumienia“, nie zna godności własnej w znaczeniu europejskiem, ani obowiązku mówienia prawdy. „Odkryłem“ — opowiada Heyst Lenie — „że (Wang) przywłaszczył sobie mój rewolwer. Powiada, że go nie wziął. To naturalne. Chińczyk nie przyznałby się pod żadnym pozorem. Zataić, to dla niego zasada słusznego postępowania.“

Wang opuszcza Heysta i znajduje ochronę u plemienia Alfurów, żyjących w głębi wyspy. Napróżno Heyst, chcąc ratować Lenę, prosi Chińczyka, aby wpuścił bezbronną kobietę za barykadę, zagradzającą drogę do wioski Alfurów.

„Niestety, nie udało mi się“ — zdaje relację towarzyszce. „Nie udało mi się wzruszyć serca tego syna

niebios — jeśli ma serce. Oświadczył mi zgodnie z potworną logiką chińską, że nie może nas przepuścić, bo by nas ścigano, a on nie lubi walki. Dał mi do zrozumienia, że raczej zastrzeli mię z mojego własnego rewolweru bez żadnej skruchy, niż narazi się dla mnie na brutalne i przykre starcie z obcymi barbarzyńcami, Został u Alfurów kaznodzieją. Oni go bardzo szanują. To najznakomitszy człowiek, jakiego kiedykolwiek widzieli, przytem spowinowacony z nimi przez małżeństwo. Oni rozumieją jego politykę. Zresztą, oprócz paru starców, zostały w wiosce tylko kobiety i dzieci. Mężczyźni wyjeżdżają w tym czasie bo to sezon handlowy. Lecz nawet, gdyby byli zostali, toby na jedno wyszło. Żaden z nich nie ma żyłki wojackiej, a już najmniej uśmiecha im się potyczka z białymi. To ludzie usposobieni pokojowo, łagodni i wielceby się ucieszyli, gdyby mnie zastrzelono."

Nie chodzi tu o to, czy psychologja Chińczyka jest prawdziwa; chodzi o to, że kontrast ten uwidocznia pojęcia moralne, z któremi wykolejeniec Heyst zrośnięty jest duchowo.

Mówiliśmy już parokrotnie o sprzecznościach w Conradzie — pisarzu. Ideologja jego częściowo je wyjaśnia, częściowo zaś sama pozostaje w sprzeczności z psychiką twórcy i nawet pewnemi jego przekonaniami. Niewątpliwie jednak sama przez się nie stanowi łącznika z cywilizacją macierzystą autora „Zwierciadła Morza". — Jest zresztą jednym tylko z czynników, determinujących stosunek pisarza do tej cywilizacji.

WITOLD JERZY CHWALEWIK

WERNER V. HEIDENSTAM

CIEMNA JUTRZNIA

BYŁ wieczor wigilijny. Na plebanji w Undenäs siedziała wdowa po pastorze, trzymając na kolanach papiery po nieboszczyku. Miała na sobie stanik, przerobiony ze starej, często nicowanej, sutanny, a na głowie sztywną, nakrochmaloną chustkę, zebraną w gruby węzeł na karku. Szczupłe, zsiniałe z zimna palce rozczepierzyła na papierach. Ta słuszniejsza i chudsza od innych kobieta, bywała pomawiana o złośliwość i znienawidzona za skąpsrwo. Nawet za dobrych czasów nikt nigdy nie zaświecił łojówki na plebanji. Zimą o trzeciej w nocy, spędzała czeladź z łóżek, chociaż przy mdłym blasku łuczywa, albo drew na kominie, trudno byłoby cokolwiek wyślepić i służba to poziewając, to gawędząc, tylko czas mitrężyła do świta na poddaszu. Parobkowi, zdybanemu między stajnią i oborą nieomieszkała nigdy rzec, by zzuł drewniane chodaki i chował je na plecach aż do święta; każdy zaś, kogo wypomniano z ambony, uważał ją za donosicielkę, za sprawczynię złego.

Zmierzchało już, a ona wciąż wsłupiała wzrok przez szyby, napołę śniegiem zaniesione, w kościół, pokryty gontem i w dzwonnicę. Obok niej stał mężczyzna w kędzierzawej peruce, z uśmiechem na pocentkowanej pryszczami twarzy. Był to imci pan Trulson, zarządzca hut żelaznych.

— Czy aby wróci? — pytała pastorowa z niepokojem. To mój jedyny parobek. Od trzech dni siedzi w mieście i niema o nim słychu! Trzy dni! Wart chłosty! dał się przyłapać w karczmie jak amen w pacierzu i wzięto go w rekruty według urzędowego obwieszczenia.

— Bałem się, czy tu, w domu żałoby, nic złego się nie święci— odpowiedział przyjaźnie Trulson. — Dlatego przyjechałem tu na górę. Nie skarżcie się, matko Ingebritto: w gruncie rzeczy niema tak wielkiej różnicy między szczęściem a nieszczęściem ijak mówią zazwyczaj. I jedno i drugie staje się te m ,coz nego zrobimy. Zebyście tylko zobaczyli jak stary, piękny Svopen, mój dobrodziej i pan, wyprostowany, milczący stoi sobie w sali jadalnej i wielką kupę złota oblicza na roczne wydatki, sześćset talarów srebrnych jako przewyżka należności za jedwab zagraniczny dla jaśnie panienki, sześćdziesiąt talarów za koronki, czterdzieści za futro sobolowe, dwadzieścia za wytworne kapelusze i chustki, cztery za kawę i herbatę, czterdzieści za ozdoby złote na karocach, czterdzieści też wyniosą rachunki za tytoń, a potem podatek szóstego grosza, podatek przejściowy, podatek kontrybucyjny z całych dóbr i za wszystkich poddanych. Zważcie też, iż żelazo trzeba oddawać państwu, które niema czem płacić i że w hucie jest zaledwie trzech chłopów, zdolnych do pracy w kuźniach. A pomimo to Svopen nie traci dobrej miny i pięknie wygląda, gdy wysypuje z worków pogańskie miedziaki Görtza. Nadto dbacie o dobra doczesne, matko Ingebritto. Wszyscy tak myślą.

— Bieda rodzi przezorność, — odburknęła szorstko. Nigdy jeszcze nędza tak nie dławiła narodu, jak dziś. Od listopada jadamy chleb z kory... Aby utrzymać dragona sam Vibeliad, świeć Panie nad jego duszą, poszedł pracować w polu jak parobek, aż padł i ducha wyzionął. Za pięć ledwo dokupię się funta cukru, za beczkę śledzi wyprują ci pięćdziesiąt, a za sól przeszło sto. Jutro jutrznia, a brak łoju choćby na jedną świecę. Niema proboszcza, żeby odczytał słowo boże, ani nawet zakrystjana... Konie zabrano na podwody. Jeśli parobek nie wróci, będę zgubiona, bo gospodarstwo zmarnieje bez mężczyzny. Na miłość boską mów mi waść, że wróci!

Przylgnęła czołem do szyby, bełkocząc coś bezradnie.

— Wraca! — rzekł Trulson, — słychać kroki na śniegu.

W tej chwili drzwi otwarto z łoskotem i chrzęstem. Kilku parobków w podartych mundurach wpadło z wrzaskiem do izby, potykając się o próg, a za nimi ciągnęła czereda chudych włóczęgów, przeważnie młodzieniaszków i chłopiąt. Twarze ich zmizerowane, zczerniałe, świadczyły, że długo już obywali się chlebem z kory drzewnej. Na nogach mieli onucze z owczych skór. W ostatnim z wchodzących poznała pastorowa swego parobka i zrozumiała wnet, że wzięty oto do wojska będzie uprowadzony wraz z innymi.

— Dawajcie na stół, co tylko w domu macie! — rozkazał jakiś drab, chuchając w zmarzniętę garście.

— Nie niema, zupełnie nic!—odpowiedziała spokojnie.

— Jak po dobroci nie dają, to trzeba mocą wziąć. Od siedmiu godzin tłumaczy się po próżnicy od chałupy do chałupy, a wszędzie pustka i głód.

We wrzasku głosów, w brzęku ostróg i szczęku rapierów matka Ingebritta skubała bezradnie fartuch, kiwając się to naprzód, to wtył. Pytające spojrzenie rzuciła swemu parobkowi. Ten długo skrobał się w kark, zasłuchany w gwar kłótni. Wreszcie, wlepiwszy wzrok w ziemię, rzekł zcicha:

— Zawdy byliście, matko, twardzi i nieużyci. Dlatego lata zeszłego skradłem wam cztery bochny i schowałem do komory, przy schodach. Na własne oczy ujrzycie, że je podzielę z innemi. Bieda brata ludzi.

Z wrzaskiem wyrwały draby matce Ingebricie pęk kluczy z zapasa. W mig szafy oraz skrzynie stanęły otworem. Gliniane miski napełniły się przysmakami, wygrzebanemi z ukrycia, a nad ogniem odgrzewali parobcy, klnąc co się zmieści, kawał szynki z przymarzłem do gnata robactwem.

— Tylko spokojnie, dobrzy ludzie! — upominał po ojcowsku Trulson. Jako mróz tępi robactwo w mięsiwie, tak bieda, co na nas i na kraj nasz przyszła, wydusi niejednego robaka, co toczył nasze serce.

To mówiąc, spojrzał na matkę Ingebrittę jak gdyby do niej kierował te słowa, lecz ona chcąc zmusić go do milczenia, uparcie patrzyła wbok. On zaś stał na środku izby, plecami obrócony do ognia, zaciskał ręce i prawił dalej z namaszczeniem kaznodziei.

— Uciszcie się, dobrzy ludzie. Nie bierzcie się do jadła, nie odmówiwszy modlitwy przed posiłkiem. Taką nieszczęsną noc, jak dzisiejsza, zsyła ludziom Bóg Wszechmogący, aby ich podnieść, ulepszyć i aby mały nasz naród doprowadzić do tego, iż się wspanialszy i piękniejszy okaże w swem ubóstwie, niż wszystkie inne w złotych szatach potęgi.

Stara podeszła do otwartej szafy i zaczęła chrobotać a brzękać łyżkami byle nie słyszeć tych wywodów. Niebawem jednak, obróciwszy się, rzekła:

— Trulson, myślałam, że waćpan mi sprzyjał.

— Twardą ręką rządzicie w waszym domu, matko, lecz nie możecie wziąć nam za złe modlitwy przed jedzeniem.

Cała czereda stłoczyła się pod ścianę; wszyscy złożyli ręce do pacierza. A Trulson, coraz baczniej wpatrując się w staruchę spokojnemi oczyma, odmawiać jął dobitnie Ojcze Nasz.

Ona zaś, mnąc lękliwie w palcach rąbek fartucha, usiłowała, drżąca na całem ciele, unikać jego wzroku, lecz, zniewolona łagodnością, raz po raz tonęła w nim oczyma, coraz gwałtowniej za każdym razem wzdychając. A kiedy padły słowa: „Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj...“ przerwała mu bezwiednie:

— Dość!

— Jakto? Nie mam mówić Modlitwy Pańskiej?

— Nie dzisiaj, nie tej nocy! Jutro ją zmówimy.

Chwyciła go za ramię i pociągnęła za sobą do sieni.

— Nazwaliście mnie skąpą i twardą? — zapytała głosem tak dziwnym, jakby nie z ust wychodził, ale z serca.

— Tak.

— I mówiliście, że niedola przychodzi, aby nas wznieść i polepszyć?

Skinął głową.

— Więc chodźcie za mną! — szepnęła i poszli w ciemną noc zimową.

Skorupa śnieżna tak strwardniała od mrozu, że się nie załamywała pod nimi. Gwiazdy lśniły nad ciemnym rzędem sadyb, skąd nie dolatał ryk bydła i gdzie nikt już nie stawiał dawnym zwyczajem snopka zboża dla wróbli. Wiatr, nieustannie dmący od północy, owiewał węgły domostwa. Musieli kulić się pod ścianą stodoły, a wszedłszy w las czepiać się mocno gałęzi jodłowych.

Trulsonowi przemknęło przez myśl, że stara nagle postradała zmysły, więc z rękoma przy ustach wołał na nią, ale wśród wycia wichru nie posłyszała jego słów. Pokazywała tylko ręką przed siebie i szła, i szła. Nie przewidział jej dobrych zamiarów, ale mu było wstyd zostawić samą kobietę śród lasu, a wiedział przytem, że wilki rozmnożyły się znacznie, odkąd ludzi ubyło. Ziębnięty do szpiku kości od mrozu i lęku, przyśpieszył kroku, aby ją schwycić wpół i przemocą zatrzymać. Nagle rozeznał, że się znajdują już w obejściu zrujnowanego, opustoszałego domostwa, którego gospodarze pomarli na zarazę, straciwszy syna na wojnie. Stodoła była śniegiem zawiana do cna, pełno też śniegu leżało na schodach do chaty. Drzwi stały otworem, bielało okno w przeciwległej ścianie. Strach go zdjął i przystanął.

Wsparte o zrąb chałupy stało jakieś widziadło, postać wysoka, podobna do człowieka otulonego szarem futrem, w ogromnej, rosochatej ośnieżonej koronie na głowie. Byłże to tknięty pomorem sam gospodarz, co powstał z płytkiego, własnemi dłońmi niedbale wykopanego grobu, aby Boże Narodzenie obchodzić w chacie, gdzie niegdyś za czasów świętej pamięci Karola XII-go pijał wesoło i brzękał na cytrze.

Matka Ingebritta drżała ze strachu. Przycisnąwszy ręce do oczu, by nic nie widzieć, skoczyła do chaty.

W Trulsonie serce zamarło. Pochylił się zwolna ku widmu. Poznał, że był to zmarznięty na śmierć łoś, którego przywabiło tu wspomnienie innych Nocy Wigilijnych, gdy ogrzewało go ciepło, idące od ściany tego domu, w którem dziś nikt już nie spał na łożnicy w niszy, i w którego oknach już nie odbłyskał żar z komina.

— Boże, zmiłuj się! — wymamrotał Trulson, przestępując próg izby. Takie czasy nastały, że nie tylko człek, lecz i zwierz leśny mrze z głodu.

Lecz matka Ingebritta nie słyszała go. Wyjąwszy kilka desek z podłogi, dobyła skrzynkę szeroką na pół ramienia, a długą na dwa. Przy bladym odblasku śnieżnym rozeznać było można jej tło niebieskie, desenie z liści białych i gałęzi oraz uszy żelazne.

Matka Ingebritta bała się kąta z pustem łożem i zawsze zwracała się do niego twarzą, pilnując się boku Trulsona. Ten nie pojmował, ale gdy stara schwyciła za jedno ucho skrzyni on porwał za drugie. Rozglądając się po wszystkich kątach, wynieśli skrzynię z chaty i skierowali się z powrotem do kościoła.

W kościeli siedli na ganku, nieopodal kruchty.

— Idź waćpan do dom, — rzekła Ingebritta, siądźcie za stołem i gospodarzcie moim nieproszonym gościom. Ja sama muszę zostać tu, przy skrzynce i niejedno przemyśleć, bo kiedy się tu jutro zgromadzimy, będę tą, którą Pan Bóg powoła, by odprawiła jutrznię.

Trulson posłusznie szedł przez cmentarz ku plebanji. Był pewien że nieszczęście obrało kobietę z rozumu, że nazajutrz skoro świt trzeba ją będzie zawieść do szpitala.

Gdy nastał ranek zawieja prawie ucichła. Ale nie zadźwięczały, jak bywało dawniej, dzwonki sanek i nie zbliżali się przez zaśnieżone drogi zażywni, pyzaci parafjanie na jucznych wierzchowcach. Na milę dookoła nieposłyszałbyś trzaskania z bata ani okrzyku wesołego w opustoszałych, zrujnowanych wsiach. Zrzadka między drzewami zamigotały tu i owdzie samotne łuczywa; parę kobiet, kilku półżywych starców z laskami lub o kulach zebrało się w kruchcie. Mężów nie było wcale, a wszystkich wiernych zebrało się jeno dwanaście głów. Więcej bowiem było grobów, niż ludzi w żałobie. A jeszcze nigdy dzień Bożych Narodzin nie świtał wśród tak głuchego milczenia

Przybysze drewnianemi chodakami zadeptywali łuczywa. Dostrzegłszy zaś, że nie płonie w kościele ani jedno światło, a matka Ingebritta siedzi na skrzynce samotna, pozdrawiali ją półgębkiem ze zdziwieniem. Ponieważ wciąż trwała bez ruchu z brodą na rękach wspartą i ani głową nikomu nie skinęła, ani nie odezwała się słowem, przeto wszyscy poczuli do niej nienawiść żywszą, niż zwykle.

Tymczasem nadciągali jeden po drugim nocni goście z plebanji. Dzwony kościelne nie odezwały się wcale. Oddawna przetopiono je w armaty, a te zgwożdżone, ogłuchłe leżały na dnie Ditnarskiego bagna... Kaznodzieja nie wyszedł na ambonę, zakrystjan nie poddał tonu djapaznanem, tylko we drzwiach stanęła prosta wiejska dziewka, pełniąca już od dawna jego obowiązki.

Matka Ingebritta podniosła się i odsunęła promienie włosów z czoła. W kościele było tak ciemno, że chcąc się oprzeć o ławkę musiała jej szukać ręką. Nie można było rozeznać w pomroce ani chrzcielnicy, ani fresków, ani belkowania. Tylko opodal, na ołtarzu lśnił świecznik z miedzi w odblaskach śniegowych.

— Wczoraj,—powiedziała, — skończyliśmy modlitwę słowami: „Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj!...".

Potem cicho, bezdźwięcznie szeptem powiedziała: „Odpuść nam nasze winy".

W tej samej chwili jakieś wyżółkłe, do upiora podobne dziecko stanęło na progu kościelnym z łuczywem. Przy jego blasku matka Ingebritta otworzyła skrzynkę, klęknąwszy na płycie grobowej:

— Nieszczęście sprawia cuda, — powiedziała, i nagle wszystkim uczestnikom tej ciemnej jutrzni wydało się, że światło zapłonęło w kościele, światło jaśniejsze od stu woskowych najśliczniejszych świec.

Wyjąwszy ze skrzynki sześć kubków srebrnych i tyleż srebrnych łyżek rozdzieliła je Ingebritta sprawiedliwie między żołdaków i ich towarzyszy. Z czterech ciężkich sakiewek z drobną monetą wyliczyła równą kwotę na każdą wyciągniętą dłoń, bez niczyjej krzywdy. Do każdego fartucha włożyła chleb i sól, rozdała pierścionki i wiele innych błyskotek, aż w końcu wypróżniła się skrzynia do dna, a łuczywo zagasło.

Przełożył STANISŁAW MIŁASZEWSKI

CYT!!...

WYŚNIONĄ miała jako cud
zmartwychwstać w majestacie.
Miała przez morza przechodzić wbród,
nie ludzi łowić, ale cały lud,
i miała siedmiorgiem chleba — pamiętacie?
nakarmić mężów miliony,
Ona — „Chrystus narodów", przemieniony
na górze Tabor: na Wawelu.

A z naszych ust — wielu, wielu —
miały paść słowa: „dobrze nam tu być!"—
I mieliśmy zbudować trzy przybytki
dla trójcy zjednoczonych dzielnic.
I mieliśmy unieśmiertelnić
jeden naród w trzech osobach,
ażeby na wieki wieków żyć
i stary, ziemski glob, ach! uszczęśliwić,
jakby młodością Sulamitki,
płomieniem naszej wiary.

O sny! — O sny!...
Dalekiej wiosny widzenia!
O tęsknoto Wyzwolenia
z mroźnych, lodowych kazamat
i krat, co wieżą źródła żywej wody!

Ujrzały, ujrzały narody,
że przyjście wiosny to kałuże,
to zabagnienie wszystkich rzek,
to jeden, mętny ściek,
nad którym, gdzieś tam, w górze,
długo pracować musi słońce,
zanim zakwitnie kwiat na łące
i zanim zwolna błoto się zamieni
w szmaragd przeczystej zieleni.

O sny! — O sny!...

. . . .

Zawartej katedry wierzeje
miała otworzyć racławicka kosa,
może wyrobnik, może dziewka bosa,
skoro zadnieje —
i Konrad — Czyn, wyzwolony,
miał wybiec, wołając: „więzy rwij!" —
I miał, jak w wielkie dzwony,
uderzyć w wielkie myśli wielkiemi sercami —
i cała Polska miała brzmieć
wszerz i wzwyż,
jako spiż,
iżeśmy Duchem niezawiśli,
że dom nasz zbudujemy sami,
radosny!

O sny!... O sny!...
dalekiej wiosny widzenia!

Wyrobnik? — kosa? —
Dziewka bosa? —
Serca? — Myśli? — Pałka! Kij! —
I tupot i wrzaski: „jedz i pij!"
I tupot i wrzaski: „rabuj! bierz!" —
Sercem krwawem, myślą krwawą,
pięścią krwawą, żwawo, żwawo,
wzwyż i wszerz
rabuj, bierz —

O jawo! — O jawo! — O jawo! —
A tam — w stallach — przy ołtarzu —
gdzie lampa wieczysta płonie —
tam kasztelanki w robronie —
infuły, delje, zbroje, czamary, sukmany —
tam przy sterze, tam za nawą,
jakby kwiaty w wirydarzu,
siedzi orszak malowany,
tęczą tysiącznych blasków lśni
i głuchy, i ślepy, twardo śpi —
o jawo!

Cyt!! —

Ujrzały, ujrzały narody,
że pierwszy hejnał wiosennej swobody
to zgiełk, to huk, to trzask, to zgrzyt,
to lodów pękanie, to zatory, burze,
wylewy... nad któremi, gdzieś tam, gdzieś tam, [w górze,
długo pracować musi słońce
zanim się zbudzą dęby śpiące,
zanim nałożą zielne korony,
zanim rozwiną zielne sztandary,
i zanim psalm prastary płomienistej wiary
zaszumi od morza do morza!

K. H. ROSTWOROWSKI

LIBERUM VETO

Powstrzymanie wiatru przez tych, którzy go wzdymają. — Pociecha w braku lepszej. — Nowy rodzaj detektywów. — Misjonarze pracy. — Przedłużanie życia. — Oszczędności czasu jako kapitał narodu. — Trzeba wiercić tunel.

NIEPOCHLEBNE wyobrażenie mielibyśmy o inteligencji człowieka, któryby usiłował zahamować wiatr zapomocą wysokiego muru, przecinającego kierunek prądu na całej przestrzeni kraju. Wiatr bowiem nie przestałby dąć, przelatywałby wierzchem zapory, okrążałby ją z boków, przedzierałby się przez szpary i nie dosięgnął tylko tych, którzyby przy murze zbudowali sobie szczelnie opatrzone domy. Coś podobnego dzieje się w naszej gospodarce administracyjnej. Chcąc powstrzymać wzrost drożyzny, tworzy ona osobne dla tego celu urzędy, wyznacza komisje, wydaje zakazy, zasądza kary, a drożyzna wciąż rośnie, jak gdyby wszystkie te środki dostarczały jej drożdży. Proces ten jest nadzwyczajnie jasny, tylko sofistyka urzędowa czyni go ciemnym. Nie potrzeba być wcale ekonomistą, ażeby zrozumieć, że wszelkie powiększenie kosztów produkcji musi się odbić zwyżką cen jej artykułów. Jeżeli podatki bezpośrednie i pośrednie, opłaty komunikacyjne (koleje, tramwaje, poczta), t. zw. „świadczenia“ i „zdobycze społeczne“ robotników podnoszą się, to równolegle podnosić się muszą ceny wszelkich towarów. Rząd podkręcając ciągle pierwszą śrubę, chce unieruchomić drugą. Przedsięwzięcie o tyle naiwne, o ile zawodne. Ostatnio podwyższono znowu taryfy kolejowe o 100%. Nie będę daremnie tracił słów na udowodnienie, że skutkiem tego drożyzna podskoczy nie tylko z konieczności, ale także z wyzyskującej każdą tego rodzaju zmianę łupieżczej spekulacji handlowej. Zaznaczę jedynie pewien szczegół w tej sprawie, który wymyka się uwadze opinji i władzy.

Dawniej, gdy opłata kolejowa była przez dłuższe okresy stała, drukowano ją na biletach, wskazujących pasażerom koszt przejazdu. Obecnie bilety nie zawierają ceny, którą oznacza kasjer. Otóż kilkakrotnie stwierdzono, że niektórzy kasjerzy pobierają wyższą, skutkiem czego odbywają się nieraz przy okienkach spory i targi, kończące się rozmaicie — ustępstwem całkowitem albo częściowem jednej lub drugiej strony. Zaledwie potrzebuję dodawać, że te nadwyżki płyną do kieszeni kasjerów, znanych z tej charakterystycznej właściwości, że nigdy nie mają do wydania reszty. Pomiędzy przeto urzędowo-teoretyczną, a kasowo-praktyczną ceną biletów zachodzi ruchoma, ale nieprzerwana różnica, która czyni je droższemi, niż wykazuje tabela urzędowa. Tej różnicy nie dopuszczają Żydzi, zawsze czujni w wydatkach, ale łatwo godzą się na nią inni pasażerowie, łatwowierni, niewiedzący, nieumiejący ani dobrze rachować, ani upornie się kłócić. Scisłość zatem każe przyznać, że 10 procentowa podwyżka taryfy osobowej jest mniejsza, bo dotyczy tylko minimalnej, a nie faktycznej ceny biletów. W braku lepszej pociechy dobra i taka.

Pomimo tej pociechy szkoda, że śród tylu ochotniczych rodzajów policji nie wytworzył się osobny, który by pilnował „uzgodnienia“ pobieranych opłat kolejowych z normami urzędowemi. Wszakże mamy szpiegów, tropiących nieprawomyślność obywawateli, mamy denuncjantów przestępstw prasowych, mamy gatunek wywiadowców najciekawszy, nigdzie nieznany, który śledzi winnych pracy. Wiadomo, że jeśli ktoś w sklepie, warsztacie, fabryce pracuje poza przymusową liczbę godzin, podlega karze. Nawet ludzie najmniej inteligentni łatwo pojmują, że słusznem jest zabezpieczenie najmitów od pracy przymusowej, ale żeby karać kogoś za dobrowolną, tego nie zrozumie żaden mózg niesocjalistyczny. A jednakże takie kary się wymierzają. Każdy przestępca ma swój cień — policjanta. Ma go również winowajca pracy. Chociaż niemianowani, niezaregestrowani, nieumundurowani, niepłatni, istnieją jednak bardzo liczni detektywi ochotnicy, obywatele podpatrujący i donoszący władzy o każdym czeladniku rzemieślniczym, który przy zamkniętych drzwiach i zasłoniętych oknach popełnia występek, pracując po godzinach urzędowych dla powiększenia swego zbyt szczupłego zarobku. Pozostało jeszcze wielu ciężkich zbrodniarzów niewykrytych, pozostało jeszcze wielu zbrodniarzów wykrytych, a nieukaranych, mimo to nasza Temida nie czuje ani wstydu, ani wyrzutów sumienia; ale gdy w jakiejś fabryce robotnicy zaczęli pracować poza sakramentalnym 8 godzinnym czasem, wyższym i świętszym niż wszystkie prawdy naukowe i dogmaty religijne, natychmiast pośpieszył do Łodzi z mieczem pomsty stróż — przepraszam dozorca prawa i przywrócił jego siłę.

Podczas gdy uboga Polska ufundowała w swym rządzie osobną strażnicę, pilnującą, ażeby ludzie próżnowali lub pracowali wstrzemięźliwie, a przekroczenie tego zakazu uznała za przestępstwo równe kradzieży bez włamania, cały bogaty świat nie tylko pracuje z wielkiem natężeniem, ale jeszcze usiłuje powiększyć ten wysiłek pomnożeniem jego wydajności. Ta dążność zbyt jest surową, a nawet rozstrzygającą o życiu i śmierci narodów, ażeby nie zrobiła wyłomu w odwiecznym murze naszego lenistwa, opancerzonym drutami kolczastemi nowoczesnych strategów walki klas. Powstała i u nas Liga Pracy, rodzaj ambony publicznej, w której misjonarze małego, ale nieugiętego zakonu prawią kazania nielicznym i przeważnie głuchym słuchaczom. Wszystkie ich mowy mają rozpuszczoną w rozmaitych roztworach taką esencję: „Kochani rodacy, wydobywszy się z niewoli, gorąco pragniemy istnieć jako naród wolny, państwo niepodległe. Ale łudzicie się ciągle mniemaniem, że wam do obrony od nieprzyjaciół wystarczy pewna ilość żołnierzy, armat, karabinów, samolotów, gazów trujących i sojuszów. Jesteście w grubym błęcie, którym oślepieni posuwacie się w przepaść. Gdybyście podnieśli nawet swoje siły zbrojne do miary wyrównywającej najpotężniejszym wrogom, oni was pokonają nie odniósłszy ani jednego zwycięstwa na polu bitwy, nie wystrzeliwszy ani jednego naboju, nie wyrzuciwszy ani jednej fali duszącego gazu — pokonają was pracą, której wy nie chcecie uznać za broń główną, a która obecnie rozstrzyga o bycie i szczęściu narodu. Jeżeli tego nie zrozumiecie, wy jeszcze umrzecie w wygranej na loterji losu swobodzie, ale wasi potomkowie dostaną się do niewoli i przeklinać będą swych lekkomyślnych i próżniaczych potomków“.

Ostatniem kazaniem dzielnego gwardjana tych misjonarzów, P. Drzewieckiego jest broszura p. t. „Przedłużenie życia“. Autor, wypróbowawszy z małym skutkiem inne sposoby odemknięcia umysłów, zawartych na wszystkie zatrzaski, jakie wynalazło lenistwo, używa nowego klucza, który powinienby je utworzyć. Najtwardszy wróg, który opiera się najsilniejszym argumentom, mięknie pod wpływem obietnicy przedłużenia życia bodaj o jedną dobę. Autor dowodzi tej możliwości bardzo prosto: im więcej wyzyskujemy czas, tem bardziej on się nam przedłuża. Jeżeli zaś uzyskanie czasu, tego „najdrogocenniejszego dobra“, którego nie można magazynować i trzeba zużytkowywać w biegu, porównamy u Polaków i u narodów o natężonej pracy, przekonamy się, że różnica wypada dla nas z olbrzymią niższością. „Ludność Polski żyje życiem niewiele

odbijającem od fizjologicznego, gdy ludność Stanów Zjednoczonych żyją pełnią życia kulturalnego... Farmer amerykański na 100 polskich morgach gruntu, na których posiada 6 koni i 12 krów, obsługuje swą fermę bez maszyn sam z jednym wynajętym sezonowo robotnikiem" (Wtrącę tu z własnego doświadczenia, że podczas studjów uniwersyteckich w Lipsku saskim, mieszkałem na dzierżawionem przez inspektora Konserwatorjum piętrze dawnego hotelu, gdzie było 21 osobnych pokojów zajętych przez tyluż lokatorów i 3 przez rodzinę gospodarza, złożoną z 5 osób, czyli do obsłużenia 24 pokojów i 26 osób — jedna dziewczyna). Zarząd omnibusów w Londynie zaproponował publiczności skrócenie czasu na przystankach, gdyż sekunda oszczędności da ogółem 20.000 f. szt. rocznie dochodu, który może być użyty na ulepszenie komunikacji... Przyjmując—powiada Drzewiecki—że 30 miljonowa ludność pokrywa swe potrzeby kosztem 12 miljardów złotych i że w tym koszcie 80 proc. zawarte jest w pracy, łatwo obliczymy, iż jednej tylko minucie produkcyjnej pracy całej ludności państwa polskiego odpowiada 20 miljonów złotych dochodu rocznego. Chociaż ten rachunek usuwa wszelkie wątpliwości i powinien być przekonywującym dla każdego, pozostanie na długo jeszcze bajką o „żelaznym wilku" dla tłumów, zalegających bezczynnie całemi dniami wszystkie ławki miejsc publicznych, spacerujących po ulicach, wysiadujących w kawiarniach, pobierających zasiłki z funduszu bezrobotnych, dla rycerzy zbiegowisk i pochodów komunistycznych, dla poddanych samowładztwu dyktatury proletarjatu, dla przywódców i uczestników strajków i naturalnie dla patronatu próżniactwa — ministerjum ochrony pracy. Nie znaczy to jednak, ażeby trybuna ochrony pracy zamknęła się. Gdy inżynierowie stanęli przed górą św. Gotarda, widzieli cały jej ogrom, a jednak zaczęli przebijać w niej tunel. Gdybyśmy my wszyscy przestraszali się wielkością naszych gór i trudnością przebicia w nich tunelów, powinnibyśmy wykuć w tych skałach groby i położyć się w nich na wieczny spoczynek bez nadziei, ażeby Polska żyła nie tylko w poezji ale i w rzeczywistości.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

WIELKA CZY MAŁA?

W ŻYCIU duchowem Polski zaszedł fakt wielkiej wagi: decyzja, powzięta w łonie poważnego przedstawicielstwa społecznego, proklamowania i wcielania w życie idei wielkiej Polski. Powstała na tym gruncie organizacja z R. Dmowskim na czele, który tę ideę na zjeździe w Poznauiu dn. 4 grudnia r. b. w przemówieniach uzasadnił.

Wysunięcie tej idei stało się koniecznością wobec wzmożenia się akcji na rzecz idei małej Polski w duchu programu osławionego N. K. N., który żyć nie przestał i przez pakty z sumieniem polskiem szerzy w społeczeństwie rozkład moralny.

Rzucone hasło podjęły z obu stron organizacje polityczne i ich prasa. Opinja publiczna zbudzona ze snu, w który ją pogrążyły partyjne przekomarzania (a niktby partyj nie przeliczył), nasłuchuje z zaciekawieniem. Dyskusja rozsypała się na szczegóły, zajęto się stroną zewnętrzną ze względu na potrzebę reorganizowania dotychczasowych partyj. Ale, jak dorąd, tak i teraz nikt z obozu małej Polski nie odważył się wszcząć dyskusji zasadniczej na ten temat: jaka jest wola Polski hisrorycznej — czy żeby być wielką czy też małą, jakby to było potrzebne niemieckiej koncepcji Paneuropy? Polakom nie pozwala bronić tej drugiej tezy — bądź co bądź — sumienie. Robią to ukradkiem i to robienie chyłkiem oskarża ich przed narodem.

Pozostają na placu odważnie z powodu braku sumienia polskiego działacze, których nazwiska w sferach ludzi uczciwych nie wymienia się.

Społeczeństwo polskie będzie musiało świadomość swoją dziejową o tę ideę wielkiej Polski pomnożyć. Na tym terenie myśl twórcza Polski musi się wyklarować. I dlatego deklaracja poznańska z dn. 4 grudnia jest ważnym w naszych dziejach aktem. Wszystko co dalej nastąpi, będzie tylko zwycięstwa tej idei konsekwencją.

CZY JEST I GDZIE?

KS. PRYMAS arcybiskup Hlond na zjeździe katolickim w Poznaniu w orędziu swojem nawoływał Polskę, aby zerwała z „prądami, które zawodowo propagują laicyzm... przedewszystkiem z masonerją, której ostatnim celem jest systematyczne usunięcie ducha Chrystusowego z życia narodu."

Krakowski „Przegląd Powszechny", wydawany przez O.O. Jezuitów, komentuje te słowa w ten sposób:

> „Co w orędziu ks. Prymasa szczególnie uderza, to wyraźne wymienienie masonerji... Wiadomo, że u nas stało się zwyczajem przypisywanie masonerji wszystkiego zła nietylko prawdziwego, ale i takiego, które ktoś ze swego partyjnego stanowiska za zło uważa. Z drugiej strony wielu na wzmiankę o masonerji reaguje w Polsce, wzruszając ramionami, jakby pytając: gdzie jest owa wszechpotężna masonerja, kto do niej należy? Tak poważny mówca, jakim jest Prymas Polski, chyba nie rzuciłby swej przestrogi przed masonerją, gdyby nie posiadał pewnych danych o jej istnieniu i szkodliwych wpływach w naszym narodzie"...

Oczywiście ks. Prymas Hlond nie miał możności przekonać konserwatystów krakowskich. Nie przekonai też w Warszawie, gdzie, ludzie oddający się radości tworzenia, pytają dokoła: gdzież jest ta masonerja?

W grudniu odbył się w Warszawie zjazd episkopatu katolickiego. Przewodniczył ks. Prymas Hlond. Wyniki narad uchwalono przedstawić premjerowi rządu. Miał to zrobić sam ks. Prymas. W sprawie tej donosi „Gaz. Warsz. Por.":

> „Istotnie ks. Prymas został po zjeździe kilka dni w Warszawie, jednakże nie mógł odbyć konferencji z premjerem Piłsudskim z powodu jego choroby. We wtorek rano ks. Prymas wyjechał do Poznania, przyczem postanowiono, że w imieniu episkopatu konferencję z Rządem odbędzie ks. kardynał Kakowski. Po wyjeździe ks. Prymasa Hlonda, już we wtorek popołudniu, p. wice-premjer Bartel złożył wizytę ks. kardynałowi Kakowskiemu i odbył z nim godzinną konferencję. W środę rano przyjął ks. kardynała Kakowskiego p. premjer Piłsudski."

DLACZEGO?

OBFITY dopływ żydów do Palestyny zamienił się w roku bieżącym na gwałtowny odpływ z „ziemi obiecanej do której—jak nas zapewniano w syjonistycznych psalmach miłości, nadziei i wiary—każdy z tych tułaczów codziennie modli się, tęskni i wzdycha". W ciągu dwóch ostatnich miesięcy wywędrowało z tej ukochanej ojczyzny 2126 osób — dokąd? „Głównie do Polski" — odpowiada miesięcznik socjalistyczny „Walka" i dodaje: „emigrant widzi przed sobą pogorszone wydanie dobrze znanego już pierwotnego życia w Polsce". Dlaczego wybrał tę złą ziemię, dla swego powrotu? Dlaczego nie schronił się do gościnnej Rosji, przyjacielskich Niemiec, życzliwej Anglji? Dlaczego? Czy dlatego, że jedynie w Polsce może żyć,

oszukiwać ją, wyzyskiwać, rujnować, denuncjować i spotwarzać? Czy dlatego, że jedynie w Polsce może jawnie i taiemnie sprzymierzać się ze wszystkimi jej wrogami? Czy dlatego, że jedynie w Polsce może swobodnie rozpinać swoje syjonistyczne namioty przed udanym powrotem do „ziemi ojców“, a właściwie żeby w nich hodować swoje dzikie barbarzyństwo, swoją zaciekłą nienawiść, swoją jękliwą obłudę, wszystkie swoje niecnoty, przebrane w żałobną szatę cierpienia? Pięćset wrogów Polski przybywa do niej miesięcznie i nie ona się ma prawo skarżyć, ale oni. Chyba zostanie nigdy niepobitym ten rekord bezczelności.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

SPRAWY WEWNĘTRZNE

W D. 4 GRUDNIA na zjeździe, zwołanym do Poznania, powstała organizacja polityczna „Obóz Wielkiej Polski“, powołana do życia przez Romana Dmowskiego. Fakt ten znaczeniem swem tak dalece przerasta wszystkie zdarzenia w naszej polityce wewnętrznej, że — zamiast „przeglądu politycznego“ — podajemy tekst deklaracji Obozu, będącej zasadniczym aktem uchwalonym na Zjeździe:

I. O. W. P. jest organizacją świadomych sił narodu, mającą za zadanie, uczynić go zdolnym do silnego ujęcia w swe ręce spraw swoich, sprawić, ażeby stał się on w pełnem tego słowa znaczeniu panem swoich losów.

II. Celem naszego narodu, w pojęciu O. W. P., jest stać się narodem wielkim, zarówno w życiu wewnętrznem państwa, jak w stosunkach międzynarodowych. Wielkim jest naród, który wysoko nosi sztandar swej wiary, swej cywilizacji i swej państwowości. Działalność Obozu zmierza do tego, ażeby Polacy sami czcili i nakazywali innym cześć dla swej wiary, dla cywilizacji polskiej i państwa polskiego.

III. Wiara narodu polskiego, Religja Rzymsko-Katolicka, musi zajmować stanowisko religji panującej, ściśle związanej z państwem i jego życiem, oraz stanowić podstawę wychowania młodych pokoleń. Przy zapewnionej ustawami państwowemi wolności sumienia — zorganizowany naród nie może tolerować, ażeby jego wiara była przedmiotem ataktów lub doznawała obrazy z czyjejkolwiek strony, ażeby religją frymarczono dla jakichkolwiek celów lub prowadzono zorganizowaną akcję w celu rozkładu życia religijnego narodu.

IV. Cywilizacja polska, jeżeli ma być cywilizacją wielkiego narodu, musi się wyrażać:

1) w przywiązaniu i czci dla przeszłości, dla tradycji polskiej, w noszeniu z godnością imienia Polaka;

2) w głębokiem poczuciu obowiązku względem Ojczyzny i odpowiedzialności każdego obywatela za swe czyny na zajmowanem stanowisku w życiu narodu;

3) w poczuciu hierarchji, przy organizacji zarówno pracy, jak walki i w surowej karności, bez hierarchji bowiem i karności naród jest bezwładnem ciałem, niezdolnem do jakiegokolwiek działania;

4) w wysokim poziomie obyczajów i dyscypliny obyczajowej, nakazującej wszystkim szanować poczucie moralne narodu;

5) w organizacji surowej opinji publicznej, swym naciskiem nie dopuszczającej do czynów, przynoszących narodowi szkodę polityczną, moralną lub materjalną;

6) w bogatej i posiadającej wysoki poziom twórczości duchowej we wszystkich dziedzinach;

7) w wielkiej wytwórczości materjalnej, w wytężonej i sprawnie zorganizowanej pracy, zapewniającej narodowi środki do życia, a państwu potęgę; wreszcie

8) w męstwie obywateli, w odważnej ich walce przeciw wszystkiemu, co naród rozkłada, osłabia lub poniża.

V. Państwo wielkiego narodu musi być tak zorganizowane, ażeby było zdolnem:

1) zapewnić sobie szacunek i uznanie swych praw u obcych, zabezpieczyć siebie i swych obywateli od upokorzenia i wyzysku gospodarczego;

2) zapewnić wszystkim obywatelom sprawiedliwość, zabezpieczyć ich od krzywd z czyjejkolwiek strony, zapewnić im bezpieczeństwo życia i mienia, spokój i wolność pracy, wreszcie ochronić ich, a zwłaszcza młode pokolenie od zgorszenia;

3) przestrzegać surowo prawa, na którem istnienie jego i życie społeczeństwa się opiera, — i zmuszać wszystkich do poszanowania praw, żadnego bezprawia nie pozostawiać bezkarnem;

4) nakazywać szacunek dla siebie i swych instytucyj wszystkim, poczynając od rządu i jego organów, które muszą spełniać należycie swe obowiązki i ściśle dotrzymywać przyjętych zobowiązań; wreszcie

5) musi być gotowem do natychmiastowego tłumienia wszelkich objawów anarchji i do wystąpienia każdej chwili nazewnątrz w obronie swych interesów i swej godności.

VI. Na powyższych zasadach opiera się program Obozu Wielkiej Polski, który w poszczególnych działach będzie rozwijany w publikacjach i instrukcjach organizacyjnych.

SPRAWY ZAGRANICZNE

OSTATNI miesiąc przyniósł chwilowe przynajmniej załatwienie dwóch spraw, które od szeregu miesięcy głęboką troską przejmowały opinję angielską, a interesowały bardzo żywo szerokie koła opinji w całym świecie. Zakończyły się: konferencja Imperjum brytyjskiego i strajk węglowy.

Nowy ustrój Imperjum, uchwalony na Konferencji, przynosi znaczne bardzo uniezależnienie się poszczególnych dominionów, przedewszystkiem w dziedzinie polityki zagranicznej. Rola gubernatorów, przedstawicieli Korony w dominionach, ograniczona została właściwie do funkcyj reprezentacyjnych. Wprawdzie prasa angielska, omawiając wyniki Konferencji, pisze o nich w tonie optymistycznym, jasne jest jednak, że konieczność uprzedniej wspólnej zgody rządów dominjalnych ma „zobowiązania co do wystąpień czynnych“ jest poważnem skrępowaniem Anglji w jej akcji na terenie międzynarodowym, a wogóle fakt odrębnej polityki zagranicznej poszczególnych części Imperjum grozi na przyszłość ciężkiemi do pokonania trudnościami. Zresztą sam przebieg konferencji wskazywał jasno, iż nie są nazbyt mocne te węzły, które mają wiązać w jedną całość olbrzymie Imperjum Brytyjskie. Jedynie Australja manifestowała swą wierność dla macierzy, natomiast przedstawiciel Południowej Afryki gen. Hertzog korzystał z każdej sposobności, aby zaznaczyć swe stanowisko „niepodległościowe“.

Strajk węglowy zakończył się porażką górników, którzy — wyczerpani długotrwałą walką — gromadnie zaczęli powracać do pracy, godząc się na warunki, postawione przez właścicieli kopalń. Zdaje się jednak, że nie uzyskawszy spełnienia swych postulatów drogą strajku, tembardziej dążyć będą obecnie do przepro-

wadzenia ich drogą parlamentarną, przez zdobycie większości dla Partji Pracy przy najbliższych wyborach. Jeśli wziąć pod uwagę fakt, że sami robotnicy przemysłowi, nie licząc kolejarzy, robotników portowych i t. p., stanowią większość ludności W. Brytanji, a tem samem większość wyborców do Izby Gmin, łatwo będzie zrozumieć, że od złamania strajku górniczego daleko jeszcze do właściwego przezwyciężenia kryzysu, jaki przeżywa dziś Anglja.

Nagrodę Nobla, przeznaczoną dla zasłużonych około utrwalenia pokoju, podzielono w roku bieżącym pomiędzy Brianda, Chamberlaina, Dawesa i Stresemanna. Omawiając dość nieoczekiwane wyróżnienie Stresemann zauważył, iż widzi w niem „dowód wdzięczności świata za politykę, której etapami były: Londyn, Locarno, Genewa i Thoiry.“ Jeżeli tak jest w istocie, to przyznać należy, że uczone grono, decydujące o udzieleniu tej nagrody, całkowicie zsolidaryzowało się z poglądem, głoszonym przez międzynarodowych apostołów pacyfizmu, według których nic nie mogło bardziej szkodzić sprawie pokoju w Europie, niż utrzymanie kontroli zbrojeń niemieckich i wogóle utrudnianie Niemcom przygotowań do odwetu. Dzisiaj — wszyscy „idealiści“ to potwierdzą — idee pacyfistyczne odnoszą zwycięstwo na całej linji. Według depesz z Genewy p.p. Briand, Chamberlain i Stresemann porozumieli się już w sprawie zniesienia międzysojuszniczej kontroli wojskowej w Niemczech. Ma ona zaprzestać swej działalności od 1 lutego 1927 r. Tak wspaniałych triumfów pacyfizmu nie przeżywały chyba narody od okresu... bezpośrednio poprzedzającego wybuch wojny światowej.

W Białogrodzie zmarł jeden z najwybitniejszych mężów stanu współczesnej Europy, Mikołaj Pasicz. Stał na czele rządu Serbji w najtrudniejszym okresie jej dziejów, poprowadził naród do zwycięstwa, od maleńkiej Serbji do dzisiejszej zjednoczonej Jugosławji. Śmierć jego nastąpiła właśnie w chwili, kiedy polityka zagraniczna Jugosławji stanęła wobec nowego, trudnego zagadnienia: traktatu włosko-albańskiego, który znakomicie wzmacnia pozycję Włoch na półwyspie Bałkańskim i utrwala ich panowanie nad Adrjatykiem.

J. R.

POEZJA KRYPTOŻYDOWSKA

Po wojnie światowej Polska przeżyła oryginalne zjawisko: najazd sztuki żydowskiej pod nazwą nowej sztuki polskiej. Po ośmiu latach trwania tej niezwykłej w dziejach ludzkich maskarady można już i warto określić ją i ocenić syntetycznie, przynajmniej w jej części głównej, mianowicie w poezji kryptożydowskiej, t. j. w poezji, pisanej przez żydów i za polską się podającej.

Jeżeli historja zechce kiedy zająć się tym obcym natrętem i wtrętem literatury polskiej, to pierwszym rysem znamiennym, który uwagę jej zwróci, będzie prowokacyjność poezji kryptożydowskiej. Liczna, zwarta i hałaśliwa grupa pisarzów żydowskich naraz podaje się za Polaków, pisze (z żydowska—) po polsku, powołuje się na swój jakoby związek z tradycją kultury polskiej, udaje patrjotów, chrześcijan, katolików, przedstawicieli młodej Polski poetyckiej. Wszystko to gołosłownie — w programach, wstępach i odezwach, z tem większą przecie furją reklamową i arogancją.

Prowokacja—to odwieczna, narodowa cecha „narodu osobliwego“. Nie zdziwi się przeto historyk, gdy na progu swych badań znajdzie ją i u tych synów Abrahama i Sary, Izaaka i Rebeki. Jeśli zaś zechce bliżej rzecz zbadać, to chyba po to jedynie, by się dowiedzieć, jaki był cel prowokacji. A wtedy i jemu, i nam tu cel ten szybko odsłoni się przy rozważaniu dalszych oryginalnych cech poezji kryptożydowskiej, w Polsce na początku wieku dwudziestego rozplenionej. Tymczasem zauważmy, że podszywanie się sztuki pod narodowość obcą, że poniżenie sztuki do wstrętnej roli maski prowokacyjnej jest wynalazkiem i wyłączną, nigdzie pozatem nie spotykaną, specjalnością żydów.

Najjaskrawszem, poza prowokacją, znamieniem poezji, którą żydzi język polski plamią, jest porkografja. Nie pornografja (z greckiego: porné—kurtyzana), ale porkografja (z łaciny: porcus — świnia). Zdaje mi się, że ja pierwszy to słowo ukułem w czasie, gdy, czytając setki utworów osławionego „Skamandra“ (kryptonim Jordanu) poszukiwałem na ich ton zasadniczy trafnego określenia. Pornografja—byłoby określeniem nieścisłem, zbyt łagodnem i zbyt wytwornem. Bywają na świecie utwory, zaliczane ryczałtem do pornografji, które zasługują raczej na miano erotografji. Bywa nawet pornografja pełna artyzmu, z której bije czy-to humor rubaszny, czy żar szalonej, czasem tragicznej namiętności. Nic podobnego nie opromienia poezji, którą żydzi Polsce podrzucają.

Starcza ślina, ciekąca z warg obwisłych, zielona ropa, lepiąca oczki maślane, cynizm obleśnego uśmieszku, chamstwo wyobraźni, brud wyrazu, nieobecność artyzmu — oto porkograficzne cechy poezji kryptożydowskiej. Powszechnie wiadomo, że stare księgi żydów, oraz charakter i obyczaje „narodu osobliwego“ równie są cyniczne, starcze i plugawe. I z tego przeto względu, narodowo z żydostwem związana, poezja ta obca jest i wroga duchowi polskiemu. Mimo to poeci żydowscy hałaśliwie przypisują sobie polskość i ciągłość tradycji polskiej. Tu uwidocznia się cel prowokacji, którym jest zohydzenie naszej kultury w oczach świata i szerzenie zepsucia w społeczeństwie polskiem. Żydzi wiedzą o sobie, że sama obecność żyda plugawi otoczenie.

Niemniej od porkografji swoiście narodową i rasową cechą poezji kryptożydowskiej jest jej nekroforyzm i koprofagja — wszystkie trzy, zresztą, blizkiem pokrewieństwem złączone. Z instynktów swych żydzi bardzo są podobni do much i żuków gnojowych: lubią przesiadywać na trupach, babrać się w zgniliźnie, kale i ścierwie, otaczać się smrodem, natrętnie wciskać się, niby gzy końskie, we wszystkie podogonia świata. Poezja grupy, popularnie zwanej skamandrylami, roi się od takich tematów, obrazów i nastrojów. Mandryle, makaki, tchórze—śmierdziele, gnojowce, omarlice, gzy, plujki i tym podobne stworzenia, gdyby pisać umiały, nie mogłyby bardziej pachnącej stworzyć poezji, niż ta—żydowska, po polsku (na hańbę Polakom) pisana. I tu prowokacja ma cel aż nadto widoczny.

W bezpośredniem sąsiedztwie z powyższą trójką aromatyczną pozostaje plazmatyzm, właściwość również wyłącznie i narodowo żydowska. Termin—plazmatyzm—jest nowy, przezemnie ukuty na oznaczenie fizycznej i duchowej cechy żydów rojenia się, oblepiania się, gromadności każdego ich przejawu życiowego na podobieństwo wyroju szarańczy, liszek-sosnówek, gniazd szczurzych i innych najobrzydliwszych zjawisk u niższych gatunków świata zwierzęcego. Najwyższe wzloty i najgłębsze dna poezji kryptożydowskiej, najmilsze jej sny i najczulsze tęsknoty mają zawsze posmak mnóstwa, czerni żydowskiej, a niekiedy wręcz „rozpieśniają

się" (mówiąc jej poetyckim językiem) o miljardach i miljardach żydów, któreby napełniały śródgwiezdne przestworza tak, aby miejsca na nic innego we wszechświecie nie pozostało. Polak, czytając te marzenia, dostaje śmiertelnego wstrząsu obrzydzenia.

Do tego błocka porkografji, nekroforyzmu, koprofagji i plazmatyzmu poezja kryptożydowska dorzuca swoistą kolorowość napół owadziej, napół rzezackiej, krwawej i lepkiej od skrzepów wyobraźni. „Płuca czerwone, głowy rozdarte, rany ropiące" — oto porównania, których poetom tym przy każdej sposobności dostarcza duch ich rasy—istotny ognipiór upiora zbrodni, tchórzostwa pasorzytnictwa i rytualnej poufałości z rzężeniem bezbronnych żertw, religijnie mordowanych. Świat ohydy i grozy krwawo-brudnej. Dopiero w tem baphometowem świetle poezji kryptożydowskiej widna się staje aż do dna odwieczna nienawiść żydów do ludzkości i „narodów świata", mściwość ich i zaciekłość. Wszyscy chorują na czerwonkę i żółtaczkę wyobraźni. Rys ten i w poezji i w życiu prowadzi wprost do bolszewizmu, który, jako objawienie ducha „narodu osobliwego", w Rosji najwyższym swym zajaśniał blaskiem.

Bolszewizm poezji kryptożydowskiej w Polsce jest (tymczasem) papierowy, ale niemniej wszechstronny i złośliwy. „Sto miljonów chamów, które mają udusić obywatela"—to dosłowny obraz, który wciąż w różnych formach powraca w skamandrylnych poematach, hymnach i dytyrambach. Pod osłoną poezji, której wszystko wolno, żydzi bezkarnie prowadzą jawną agitację na rzecz komunizmu i bolszewickich sowietów. Ich poezja, w żargonie polskim pisana, stale wysługuje się polityce mafji socjal-syjon-masońskiej. Najjaskrawszy tego dowód miała Polska po zabójstwie Narutowicza, kiedy to cały personel poezji kryptożydowskiej, zmobilizowany za pociśnięciem guzika elektrycznego Bnei-Brith, zawył jednym głosem przekleństw i żałoby, że „z rąk Salomei wypadła korona". Dzisiaj ten sam personel śpiewa majufesy, ponieważ Salomea znów koronę podniosła.

Z natury rzeczy wynika, że poezja o takim, jak powyżej naszkicowałem, obliczu nie może mieć najmniejszego porozumienia z przyrodą. Ziemia, gleba, rola „śmierdzi" (dosłownie) tym nosom poetyckim. Dlatego pośród setki „izmów" wynaleźli jeden jeszcze, najbliższy sobie — urbanizm. Dalecy od przyrody, obcy jej i wrodzy—programowo zagrzebali się w śmietniku miejskim, zaś artyzm na tematach przyrody oparty uznali za godny pogardy przeżytek. Wprawdzie urządzają niekiedy, na sposób komiwojażerów, wycieczki na wieś, ale wtedy bezwiedny karykaturalny komizm ich przewyższa najzłośliwsze pomysły satyryczne. Stosunek poezji tej do przyrody znakomicie uogólnił jeden ze skamandrylów—p. J. Wittlin w książce swej „Wojna i dusza poety". Porównawszy przyrodę do grubej, mocnej baby, taki daje przepis na artystyczne do niej zaloty: „Trzeba ją pocałować i prędko uciekać". Otwarte zostaje pytanie, w które to mianowicie miejsce, tak prędko poetyckie żydzięta całują przyrodę.

Artystyczna bezładność tych kamelotów Baphometa z konieczności pchnęła ich na drogę teoretycznych, zbiorowych programów i recept, według których „tworzyć" należy. W ciągu niespełna dziesięciu lat wysypali z wora ruchliwej swej arogancji około stu „izmów", niby rój goniących się wzajem, dokuczliwych much jesiennych. Gdy jeden izm padał, natychmiast zbiorowemi siłami wszystkie żydki wydmuchiwały w górę nowy izm, jeszcze mocniej bzykający. Poetycka ich grupa łudząco przypomina giełdę, wrzeszczącą wśród nieustannych hoss i bess izmowych akcyj. Nigdy jeszcze cichej świątyni sztuki nie bezcześcił motłoch równie bezczelny i plugawy.

O języku, stylu, budowie, technice tego rodzaju poezji nie warto, naturalnie, szerzej się rozwodzić. Nieudolne to wszystko, sponiewierane, chamskie, śmieszne, pretensjonalne, nędzarne, półobłąkane i brudne. Obca i wroga rasa podludzi prosto z chederów swych wdarła się do świetlicy mowy polskiej i urządziła w niej purim—bal z marszelikami sztuki talmudycznej i bohaterami zamtuzowej prowokacji. Pod względem języka, stylu i wogóle—formy poezja kryptożydowska niewyczerpaną jest kopalnią dla dowcipów kawiarnianych i pism humorystycznych. „Żeglować jest koniecznie, żyć nie jest koniecznie" — oto typowy przykład języka kryptożydowskiego, wyjęty z dzieł wielkiego tłumacza „Odyssei" — pana Wittlina.

Poezja, rozporządzająca taką treścią i formą, nie mogłaby siłą własnej wartości przeniknąć nawet inteligencji — tego zwiotczałego dziś naskórka narodu polskiego. Ten, nawet w swej potworności tandetny („widymany") twór ducha żydowskiego,dla rozpowszechnienia swego musi być otoczony niemilknącą i hałaśliwą reklamą. Na reklamie żydzi znają się doskonale, więc urządzili nam widowisko jarmarczne, jakiego jeszcze nie zaznała literatura. Już ośm lat grzmi dziki jazz-band palestyńskiej muzyki — piszczałki, bębny, kotły, fujary i cymbały, skrzypce i harfy płaczące, a nadewszystko — trąby jerychońskie. Na różne formy chwalą towar swój i swoich ludzi, ale nie byliby żydami, gdyby do samochwalstwa i przechwalstwa swego nie dołączyli równie głośnej i czelnej pogardy dla polskiej przeszłości poetyckiej. Żyd tylko na plecach poniżonego czuje się wywyższonym.

Trąby jerychońskie mają przed oblicznością żydków zburzyć najprzedniejsze mury kultury polskiej. Stąd zaciekłe ataki na każdy oryginalny i zdrowy objaw polskiej twórczości, a przedewszystkiem—chamska naganka na arcydzieło naszej poezji, na „Pana Tadeusza". Nagankę samą robią szabesgoje i żydłaki (słowo na wzór „wilkołaka", oznacza mechesa), ale kierują nią żydki. Gdzie robota jest trochę niebezpieczna, tam żydki zawsze wysyłają naprzód różnych millerów i kadenów: ci, choć w błoto wdeptani, stworzą z czasem dla żydostwa pomost przez fossę wrogiego okopu.

Cały ten sabat giełdowo-bużniczny odbywa się w wirującej kurzawie nazwisk setek żyjących i zmarłych artystów „bez różnicy narodowości, ras, wartości i kierunków". Ażeby do reszty oszołomić głupiego Polaka, żydzi uruchomili wszystkie encyklopedje i armję reporterów, z których co tydzień w „Wiadomościach literackich" sypią się fury piasku międzynarodowego, rzucane umiejętnie w oczy i za kołnierze polskiej gawiedzi. Tu żydzi pławią się w swoim żywiole: gwałt, harmider, licytacja, tłok, smród i gorąco, a wśród nazwisk szanownych nieboszczyków aryjskich co chwila wyskakuje jakiś Einstein, Elenbug, Erger lub Pomper, przemycany i wtłaczany w tłoku do polskich mózgownic. Tak oto na nekroforji robi się autoreklamę.

Taka jest w głównych rysach charakterystyka poezji kryptożydowskiej i w tych rysach przejdzie ona do historji wtrętów literatury polskiej, o ile historycy nasi uznają kiedy za stosowne o wtrętach i natrętach wspominać. Przykładów, przytoczeń i dowodów nie podaję, bo toby do rozmiarów książki musiało szkic mój rozszerzyć. W swoim czasie w szeregu krytyk i peolemik, drukowanych w „Gazecie Warszawskiej", dałem dostateczną ilość cytat, które sąd mój uzasadniają. Ktoby przez nieznajomość rzeczy posądzał

mnie o przesadę, niech zada sobie trud przestudjowania poezji, o której tu mowa. Wtedy najdrastyczniejsze nawet moje określenia spadną mu w oczach do normalnej temperatury objektywizmu. Tyle tylko, że sprawy i rzeczy nazywam po imieniu.

Wniosek atoli, do którego szkic mój doprowadza, nie dotyczy żydów, ani ich polityki i poezji. To był tylko długi wstęp do krótkiego *pro domo nostra*. Współczesne pokolenie inteligencji polskiej dało się żydom nastraszyć i oplątać, wzięło fałszerzów życia naszego na serjo, przyjęło w dom swój oszustów i prowokatorów. Baphometowa sfora ujada już z łamów najbardziej polskich tygodników ilustrowanych, kieruje opinją, opanowuje rynek wydawniczy. Oto błotniste dno upadku dzisiejszej inteligencji polskiej—tego dziedzica górnej, wzniosłej, prometejskiej, a w każdym razie — czystej poezji naszego nieszczęsnego narodu.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

NAUKA I LITERATURA

GŁOS Z GROBU FUTURYZMU POLSKIEGO

PODOBNIE jak na terenie europejskim, futuryzm, będący zaprzeczeniem przeszłości, objawił się najpierw we Włoszech, w tem mauzoleum prastarej romańskiej kultury, tak na terenie polskim pierwsze objawy futuryzmu wyszły właśnie z Krakowa, tego żywego ogniska przeszłości. Kraków stał się bastjonem, z którego do szturmu ruszyła awangarda „nowej sztuki".

W ruchu, poczętym u podłoża „wielkiej przemiany", obok Poznania (grupa „Zdroju") i Warszawy (grupa „Skamandra" i „Ponowy"), Kraków zajął nie tyle przodujące, ile najbardziej krańcowe stanowisko. Tu właśnie z hasłem bezwzględnego zerwania z tradycją, z hasłem „sztuki teraźniejszości", powstał cały szereg grup „lewicy literackiej". Po formistach i kubistach, po bojówce „brzuchomówców" i futurystach z „katarynki", jako pewnego rodzaju próba kompromisu tu wreszcie zrodziła się neo-futurytyczna „Zwrotnica" z p. Tadeuszem Peiperem, jako redaktorem pisma i głównym teoretykiem grupy.

„Zwrotnica" odegrała pewną rolę w fermeutowaniu nowych poglądów estetycznych, ale talentów oryginalnych, twórczych nie objawiła. Była dokumentem życiowej bezsiły, mechanicznie z zagranicy na grunt polski przeszczepionego futuryzmu. I sama również z powodu anemji twórczej wkrótce swego papierowego żywota dokonać musiała. To też wznawianie „Zwrotniey" jest galwanizowaniem trupa.

Pozory życia ma imitować sensacyjne kawalarstwo, wyraz oryginalności ma zastąpić doping bezsensu. Miejsce treści zajmie absurd, miejsce formy — sztuczne wypracowania „konstrukcjonistyczne". Znany powszechnie, łobuzerski wybryk niejakiego Przybosia (próbującego „pomniejszyć" znaczenie religijnej twórczości Wyspiańskiego i Kasprowicza) jest jednym z przykładów literackiej nieodpowiedzialności tego szczątkowego organu futuryzmu, straszącego żywych obliczem upiora. Te same cechy widzimy w najświeższej enuncjacji p. T a d e u s z a P e i p e r a p. t. „N o w e u s t a".

Lektura dawnych artykułów estetycznych redaktora „Zwrotnicy" nie była bez pożytku. Umożliwiała nam ona zdanie sobie sprawy z dokonywającego się procesu fermentacji w dziedzinie pojęć estetycznych, jak również — to już mimo, a nawet wbrew woli autora — utwierdziła przekonanie o nieprzystosowalności gleby polskiej dla rozsady haseł futurystycznych. Mechanicyzm, industjalizm, technicyzm, wszystko to strasznie mało znaleźć mogło w dzisiejszej rzeczywistości polskiej uzasadnienia. Zresztą dlaczego to futuryzm w Polsce musi się koniecznie opierać na wzorach włoskich, rosyjskich czy nawet murzyńskich, a nie być futuryzmem polskim, z renowacji życia polskiego i jego odrębnych cech wynikłym? Niestety—na samodzielną w tym względzie koncepcję nie zdobył się żaden z futurystów polskich, jak zaś daleki od niej był p. Peiper, dowodzi jego banalna-naiwna krytyka „tworzenia romantycznego", jego płytkie ataki przeciw ludności i prymitywowi, z przeciwstawieniem im, importowanego „cywilizacjonizmu i komplikacjonizmu". Wogóle jednak teorji p. Peipera jako całokształtu nie można brać na serjo. Zbyt wiele w niej nietylko naciągań i ryzykanckich wywodów, lecz co gorsza rażących niekosekwencyj i wprost niepoczytalnych sprzeczności. Tak np. w jednem miejscu zwalczać będzie melodyjność i muzyczność „j a k o t u p o t m u z y o r d y n a r n e j", będzie się natrząsał z „h a ł a ś l i w e g o c o i t u s r y m ó w" i „k a t a r y n i a r s k c h w s p ó ł d ź w i ę c z n o ś c i", by niedługo potem uzasadniać konieczności rymu, nietylko jako czynnika sportu poetyckiego, ale i budowy; dodając przytem, że uważa „r y m r e g u l a r n y z a n i e z b ę d n y p i e w i a s t e k n o w e j p o e z j i" — ale z małem zastrzeżeniem: o ile się zastosuje w tym względzie opatrznościowy wynalazek autora, mianowicie „n o w y s p o s ó b p r z y c i s z e n i a r y m u — p r z e z o d d a l e n i e". Takich patentowanych „wynalazków" jest w „Nowych ustach", więcej. Najpocieszniejszą jednak rzeczą jest to, że rozsądnych nieraz wymogów i słusznych twierdzeń (jak np. uzasadnienia konstrukcji i ładu w poezji), autor teorji nie przestrzega, czy nie umie przestrzegać—w praktyce.

Mimo wszystko poczuwamy się do obowiązku stwierdzenia, że o ile p. Peiper jest nudnym poetą, o tyle może być z zainteresowaniem czytany, jak prozaik. Szkoda, że redaktor „Zwrotnicy" nie ograniczył się do roli pamiętnikarza okresu fermentu literackiego, do roli obserwatora i registratora dokonywujących się procesów i zmian. Zapiski jego miałyby wtedy wartość dokumentów. Miałyby wartość tem większą, gdyż autor „Nowych ust" jest chwilami bądź co bądź dość wnikliwym obserwatorem, czego dowód mamy choćby w tej polemicznej diatrybie przeciw łatwiźnie dotychczasowego wierszykowania:

...„Dzisiejsza poezja, szczególnie ta, którą u nas podaje się za ideał, jest i d e a ł e m ł a t w o ś c i. Tak. Te wydechane, wykrzesane, wypluwane, wypromieniowane wiersze można wylewać konewkami. I już co drugi czy co trzeci może konewki te wyławiać ze swego kałamarza (?). Wkrótce niemowlęta będą tem tylko różniły się od naszych poetów, że ich rymy tworzone będą z dźwięków nieartykułowanych. A w s z t u c e w s z y s t k o, c o p r z y c h o d z i ł a t w o, j e s t a l b o c u d z e a l b o z ł e".

P. Peiperowi utworzenie „nowego" programu również przyszło zbyt łatwo, więc, idąc za wskazówkami samego autora, skłonni jesteśmy do podejrzewania, że złożyły się nań „albo cudze albo złe", t. j. nieprzemyślane poglądy. Przytem cała ta nadbudowa na mogile zbankrutowanego futuryzmu, pretendująca do miana kościoła żywej poezji, jest w gruncie rzeczy jedynie cmentarną kostnicą martwych idej.

RAJMUND BERGIEL

O KASPROWICZU

Z literatury o Kasprowiczu zanotować możemy dwie nowe prace. Historyk literatury polskiej i krytyk, Wacław B o r o w y, wydał w osobnem odbiciu (z „Przeglądu Współczesnego") doskonałe studjum p. t. „Jan Kasprowicz". Na 36 stronach potrafił uwydatnić cytatami i umotywować linję rozwoju poety w jego poglądach na świat i w artyzmie. Praca Borowego znakomicie się przyczyni do pogłębienia sądów o Kasprowiczu i wśród czytelników i w krytyce.

Jednocześnie Zdzisław D ę b i c k i wydał (u Gebetnera i Wolffa) rozprawę p. t. „Kasprowicz poeta-bibjofil". Autor przestawił w nader sympatycznym świetle upodobania bibjofilskie poety i dał wiadomość o jego księgozbiorze. Światło to dobywa na jaw nie jeden rys wysokiej kultury literackiej Kasprowicza. Rzecz napisana z wdziękiem, a wydana ozdobnie, w niewielkiej ilości egzemplarzy na czerpanym papierze, jest miłym dla amatorów książek dorobkiem. Portret drzeworytowy (Skoczylasa roboty) nie oddaje właściwego charakteru oblicza poety.

Skoro mowa o księgozbiorze, dodamy tutaj, że dostał się on w darze od rodziny K-a miastu Lwowu z zastrzeżeniem, aby zachowany był na zawsze charakter dawny osobnego gabinetu.

W tym czasie odbyło się kilka akademij na cześć K-a. Jedną z nich urządził uniwersytet lwowski. Referat wygłosił tam prof. Juljusz Kleiner. W Krakowie urządzono ak. staraniem Tow. Szkół lud. im Słowackiego. Przem. prof. Sinko. W Warszawie odbyła się akademja w Uniwersytecie, którego K-cz był doktorem honorowym. Przemawiali rektor Hryniewiecki, prof. Br. Gubrynowicz (prelekcja z syntezą), oraz prof. Tad. Zieliński (o tłumaczu klasyków). Pozatem produkcje muzyczne i wieńczenie portretu przez słuchaczy.

W Pradze organizuje ak. klub czesko-polski przy udziale czeskiej Rady Nar. i Akademji Um. pod protektoratem prezydenta miasta Baxy. Wykłady wygłoszą prof. Horak i Szyjkowski.

W ostatnich dniach odbyła się akademja w Katowicach z wykładem Zdz. Dębickiego.

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Ostatnia książka Z d z i s ł a w a D ę b i c k i e g o „Z północy i południa" zawiera wspomnienia z podróży do Finlandji, Włoch, Szwecji, Rumunji i Turcji. Wrażenia notowane szkicowo, dają obraz tych krajów przeważnie zewnętrzny, są uwagami turysty raczej, niż poety i myśliciela. Nie mniej są pisane barwnie, interesująco, niekiedy bardzo pięknie. Czytanie ich—to jakby rozmowa ze znajomym, który przybył właśnie z dalekiej podróży, znajomym *notabene* bardzo kulturalnym i umiejącym opowiadać. To też dobrze uczyniła księgarnia Gebethnera i Wolffa, wydając ten zbiór bezpretensjonalnych szkiców i notat, który z przyjemnością czytany będzie przez ludzi, stęsknionych za powiewem z „szerokiego świata".

*

W nakładzie „Wydawnictwa Polskiego" (Lwów — Poznań) ukazały się szkice pióra S t. W a s y l e w s k i e g o: „O siedmiu duszach kobiety. Impertynencje współczesne". Autor bada psychikę i obyczajowość kobiety powojennej, którą traktuje z wykwintną, lecz bardzo dotkliwą ironją.

Wybitnemu historykowi obyczajowości i kultury polskiej przychodzi to ze szczególną łatwością i jego analizy mają pomimo swej feljetonowej formy, walor zasadniczy. Uczą nas, w braku nauki, którą autor żartobliwie proponuje nazwać „kobietologją", zastanawiać się nad wielkiemi przeobrażeniami w dzisiejszej kobiecie, a przedewszystkiem nad jej bezgraniczną płytkością i uczuciowem spospoliceniem.

W ten sposób charakteryzyje np. wrażliwość jej na piękno (Bałtyku). „Do fortepjanu w jadalni (pensjonatu) zasiadło dziewczątko. Za chwilę ku wybrzeżu popłynął, jak co wieczór, cudowny pean, w którym się dziś streszcza wszystka miłość i cześć kobiety dla morza, słońca i żywiołów... wspaniały hymn... zaczynający się od słów: „A gdy zobaczysz ciotkę mą..." Starczy to za cały rozdział! Rzecznikom feminizmu, wmawiającym kobiecie, że trzeba wciąż walczyć, oświadcza, że współczesna kobieta jesi wolną i niepodległą, „że niema władzy na świecie która byłaby w stanie naruszyć jej przywileje". A więc nie o walkę chodzi. Natomiast, podkreślając, że kultura polska dała kobiecie wyjątkowe stanowisko, nieznane gdzieindziej, przypomina jej: „zaszczytne stanowisko kobiety w Polsce niesie z sobą nietylko prawa i przywileje ale nakłada obowiązki".

Autorowi chodzi nie o „nadzwyczajność", chodzi o „dziwny urok" kobiety na codzień, który byłby spłatą długu zaciągniętego przez nią wobec kultury polskiej. Książka obudzi niewątpliwie żywe polemiki — oby rzeczowe.

*

W tych dniach nakładem księgarni Narodowej w Warszawie wyjdzie pierwszy zbiór poezyj utalentowanego młodego pisarza Miłosza Gembarzewskiego p. t. „Biały pióropusz".

*

Cieszącа się zasłużonem powodzeniem na scenie komedja J ó z e f a R ą c z k o w s k i e g o „Polityka i miłość" wyszła w książce nakładem księg. św. Wojciecha w Poznaniu.

*

W zeszycie listopadowym „R u c h u L i t e r a c k i e g o" zasługują na uwagę artykuły Pollaka „Z dziejów Machiavela w Polsce" oraz J. Kijasa „Źródło fabuły Olbrachtowych rycerzy Kaczkowskiego"; Wiele recenzyj i bibljografja.

U SŁOWIAN

Październikowy (8-y) numer miesięcznika „Przegląd słowiański" (*Slovansky Prehled, R. XVIII, Praha 1925*) przynosi szereg b. interesujących studjów i artykułów. N. Radojcić, w artykule: „Do tysiąclecia królestwa chorwackiego", przedstawia świetną epokę dziejów Chorwacji, rządy króla Tomisława (910 — 930). S. Skitnik pisze o współczesnej sztuce bułgarskiej. Drog. Prohaska daje szkic literacki: Literatura serbochorwacka w czasie ruchu wolnościowego 1903 — 1913. Iwan Bryk kończy swą monografję o Iwanie France. Em. Janousek przedstawia w artykule „Polska a wojna światowa" (c. d.,) stan stosunków na ziemiach polskich w dobie ofenzywy austrjackiej i niemieckiej w 1915 r. Wreszcie J. Slawik daje zakończenie swego historycznego szkicu z dziejów rewolucji rosyjs.: „Abdykacja Mikołaja II". W przeglądzie polityczno-kulturalnym duże uwzględnienie spraw polskich, w bibljograficznym omówienie szeregu polskich publikacyj.

*

W związku z VIII Wszechsłowiańskim zlotem sokolim wyszła w Pradze w b. r. mała broszurka Vl. Z m e s k a l a sekretarza T-wa czesko-Łużyckiego „Adolf Cerny" p. t. „Łużyczanie a idea sokolska". Jest to jedyna samodzielna publikacja o Łużyckich Serbach w języku polskim. Broszurka 16-stronnicowa z 3 ilustracjami, podaje najpierw zwięzły a przejrzysty przegląd dotychczasowego rozwoju życia kulturalnego i narodowego w Łużycach, następnie zaś kreśli rozwój młodego łuż.-serbskiego ruchu sokolego, który dziś przedstawia się zupełnie poważnie („*Łużisko-serbski Sokolski Zwjask*" obejmuje obecnie już 15 gniazd, a walczyć musi od samego założenia (1920) z ogromnemi utrudnieniami ze strony Niemców. Broszurka ta, zasługująca na najszersze u nas rozpowszechnienie (cena tylko 1.50 kor. t. j. 40 groszy zamawiać można u autora: Vl. Zmeskal, Praha I Napostkowa 8/II) wyszła równocześnie w językach: polskim, czeskim, chorwackim i francuskim.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Renesans filozofji F i c h t e g o zatacza w Niemczech coraz szersze kręgi, B a n g, M a x W u n d t, znany filozof B a u c h w różnych publikacjach wykazali konieczność powrotu w dziedzinie państwowej, prawnej i gospodarczej do koncepcyj Fichtego, które dadzą narodowi jednolitość i siłę i ochronę od demokracji, socjalizmu, amerykanizmu i t. p. Ostatnio U. P e t e r s (w *Deutsches Philologenblatt*) w ciekawym artykule wykazuje, iż dokonana w Niemczech reforma szkolnictwa opiera się w całości na koncepcji Fichtego, a głównie na jego zasadach szkoły rdzennie niemieckiej (dziś nowostworzona tak zwana *Deutsche Oberschule*). W piśmiennictwie pedagogicznem znajduje się również, często nawiązywania do jego filozofji.

*

Na zasadzie żądań i dążeń odnowienia narodu niemieckiego na podstawach germańskiej rodzimości — dokonywa się oceny wszelkich zjawisk. Również i religijnych; nawiązywania do mitologji germańskiej są nadzwyczaj popularne, żąda się też czegoś nakształt nowej reformacji, jeszcze bardziej niemieckiej niż Lutra; problemem tym zajął się ostatnio J o h a n n W a l t e r w książce: „*Deutschtum und Christentum*" występując i przeciw ortodoksji i przeciw pietyzmowi, na rzecz kosmicznej i aktywnej religijności germańskiej.

*

Zasady germańskiego odrodzenia naświetlane są z przeróżnych stron. W. S t a h l b e r g „*Das deutche Reich als nationaler Staat*" 1926 zajął się krytyką radykalizmu gospodarczego mas, liberalizmu parlamentu. R e v e n t l o w „*Monarchie*" 1926 probuje określić monarchję jako personifikację stabilizacji socjalno-narodowej Niemiec, przyczem na słowo zjednoczenie położono nacisk zasadniczy. Wreszcie J. B u c h e r a: „*Volk ohne Politik*" 1926 kreśli daremne próby stworzenia „*paeischen Pufferstaat*" bowiem „racjonalna rewolucja" (tak się zowie zbiór pism, w którym ukazała się książka Buchera) wymaga, by istniało *Grossdeutsche Machtstaat*".

*

Obok Freuda, już „przyswojonego" literaturze, wysuwa się obecnie A d l e r, ze swą koncepcją „psychologji indywidualnej" upatrującej źródło każdej neurozy w rozluźnieniu więzów spaja-

jących jednostkę ze społecznością (uleczenie polega na ich wzmocnieniu). Tę teorję zużytkował dla studjów literackich nad klasycyzmem (Agamemnon-Achilles) Wirgiliuszem, Szekspirem (Otello). Mannem (Smierć w Wenecji) i Schönherrem — D. E. Oppenheim w nowej książce p. t. *„Dichtung und Menschenkenntnis“* 1926.

*

P. Jean Louis Vaudoyer rozkochany jest w Prowancji. *„Beautés de la Provence“* (Grasse) to szereg obrazów, z których każdy poświęcony jest czy to piękności miast Aix, Avignon, czy to piękności tamtejszych kobiet, czy wreszcie samemu słońcu i niebu uroczej Prowancji.

*

Giuseppe Michałowski wygłosił *„La Polonia dopo le spartizioni e l'idea dell'in dipendenza“*. („Polska po podziałach i idea niepodległości“). Jest to odbitka z pracy autora, drukowanej ostatnio w miesięczniku rzymskim „L'Europa Orientale“. Autor przedstawia tu losy idei niepodległości polskiej w epoce napoleońskiej oraz w czasie Kongresu Wiedeńskiego.

TEATR

„CAR PAWEŁ“ MEREŻKOWSKIEGO

TEATR Polski wystawił z przepychem „Cara Pawła“, wielkie jak film widowisko, w którem niepospolity pisarz rosyjski, dzisiaj emigrant, pokazał, jak to wygląda „samodzierżawje“ u siebie w domu. Mereżkowski należał do tych w Rosji umysłów liberalnych, które wystukiwały przez ściany swoich więzień duchowych najpopularniejsze wśród inteligencji hasło: precz z caratem! I wreszcie wystukali. Ileżby teraz Mereżkowski dał — dla szczęścia własnego i swojej ojczyzny, żeby się udało to wszystko odpukać.

Zanim poznałem tragedję Cara Pawła na scenie widziałem prawdziwą z carem Mikołajem II. I mogę przyznać, że Mereżkowski, świetny artysta, ma doskonałą intuicję historyczną. Tak być musiało, jak pokazał.

Czy w sztuce jako artysta chciał być tylko historykiem, czy też interesowało go zagadnienie psychologiczne? To drugie niewątpliwie stało się zadaniem dzieła.

Chciał pokazać, że skoncentrowanie myśli wielkiego państwa w jednej osobie przerasta siły jednostki, że poczucie samowładztwa rozsadza czaszkę, zwłaszcza gdy to czaszka degenerata, i przyprawia tyrana o obłąkanie. Wtedy ci sami ludzie, którzy nim igrali, pozornie ubóstwiając, usuwając go z widowni przy pomocy zamachu pałacowego. Sam ucisk psychiczny ubóstwiania na jakimś zawrotnym szczycie, gdzie niema oparcia o prawo i o szczerość otoczenia, czyni położenie tak nieludzkiem, że jedynie ludzką folgą szału bywa pokazać otoczeniu język jak to uczynił car, albo powiedzieć mu grubjaństwo. A wtedy biorą człowieka za warjata.

Straszny los. Żaden europejczyk dobrowolnie nie wziąłby go na swoje barki. Weźmie go zaś na siebie chętnie każdy człowiek wschodni dla samej możności deptania prawa. Zrozumiały jest przestrach następcy Pawła — Aleksandra — i jego łzy.

Autor dla ścisłości socjologicznej nie pominął charakterystyki społeczeństwa, w którem taki ustrój państwowy i psychiczny był możliwy, a kto wie czy nie jedynie możliwy. Otoczenie cara jest cudzoziemskie, albo zlekka pokostowane cywilizacją. Pod pudrem jej czai się „Kamarynskij mużik“, któremu „naplewat“... Rys ten może za mało na scenie był uwydatniony.

Wystawiono sztukę bardzo starannie ze znacznym nakładem materjalnym i artystycznym. Cara bardzo inteligentnie grał Junosza - Stępowski.

Z. W.

SZTUKI PLASTYCZNE

SALON „ZACHĘTY“

DOROCZNY przegląd sztuki polskiej, Salon „Zachęty“, prezentuje się tym razem dość okazale, i to nietylko pod względem ilościowym. Wprawdzie *jury* w niejednym wypadku mogło było zdobyć się na większą surowość, zaś rozwieszenie obrazów niekiedy wywołuje wrażenie, jakby umyślnie starano się uprzywilejować malowidła najsłabsze, żadnej nie przedstawiające wartości. Jest jednakże znaczna liczba dzieł, które obejrzeć warto, nawet za cenę oglądania równocześnie prac Zawadzkich, Przybylskich, Kidonów... Poziom wystawy oczywiście jest bardzo nierównomierny, ale niektórzy twórczy na wysokie wdzierają się szczyty.

Krótka notatka sprawozdawcza z konieczności stać się musi katalogowem do pewnego stopnia wyliczeniem dzieł, najbardziej godnych uwagi. Trzeba więc zanotować, że na wystawie znalazła się spora ilość prac artystów o ustalonej renomie: Wojciech Weiss dał wyborne pod względem kolorystycznym „Wiśnie“, Alfons Karpiński kilka po mistrzowsku malowanych portretów, Józef Mehoffer trzy niewielkich rozmiarów pejzaże, Wł. Jarocki barwną „Hucułkę“, Vl. Hofmann pięknych „Piłkarzy“. Prof. Noakowski wystawił trzy akwarele, a w tej liczbie „Pola Elizejskie“, będące dowodem, że ich twórca umie być znakomitym artystą nietylko jako malarz architektury. Cenne studja: „Głowa Huculа“ i „Głowa młodego Hucuła“ dał Michał Boruciński. Nie tracąc nic z wrodzonych zdolności dekoracyjnych, tworzy Boruciński dzieła coraz pełniejsze w wyrazie, coraz głębsze i szlachetniejsze.

Jednem z najpiękniejszych dzieł, jakie widzieć można w obecnym „Salonie“, jest „Portret“ Mieczysława Kotarbińskiego. Artysta ten wystawia swe prace bardzo rzadko—i tym razem jeden tylko obraz jego znalazł się w „Zachęcie“—ale zato daje dzieła pod każdem względem skończone, głębiej przeżyte, jasne jest, że sztukę swą traktuje w sposób poważny, że sam sobie umie stawiać wysokie wymagania i umie je spełniać. Mieczysław Kotarbiński jest profesorem w warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych. Ten jeden „Portret“, który wystawił obecnie, starczy za świadectwo, że musi być dobrym pedagogiem. Duży talent dekoracyjny okazała p. Bloom Mrozowska, zwłaszcza w kompozycji „Macierzyństwo“. Bardzo dobrą zapowiedzią na przyszłość jest „Wróżka“ p. J. Umińskiej. Z artystów wileńskich zasługują na wymienieni: Jamontt i Karniej, z lwowskich Ruzamski. Talent silny, niewątpliwie posiada Rafał Malczewski.

Osobno wspomnieć trzeba o dwóch artystach „lubianych“, nagrodzonych, nawet nie pozbawionych talentu a malujących dzieła, które w żadnym razie nie mogą przynieść im zaszczytu. Wielka kompozycja Wojciecha Kossaka p. t. „Do wody“, będąca właściwie portretem o płaskim, martwym, pretensjonalnym drugim planie, dziwne przykre sprawia na widzu wrażenie. Jest to jakby fotografja według mody z przed lat kilkudziesięciu, gdy gość w zakładzie fotograficznym stawał oparty o „malownicze“ skały z *papier maché*, a z tyłu miał „tło“ płócienne, z górami, łąkami, strumieniami... Bronisław Kopczyński, niegdyś dobrze zapowiadający się malarz architektury, beznadziejnie grzęźnie w nudnej jednostajnej manjerze. Wydaje się, że Warszawa niczem się dla niego nie różni od Gdańska, Gdańsk od Florencji, Wenecja do Biłgoraja...

W dziale rzeźb brak naogół dzieł bardziej wartościowych. Wyróżniają się korzystnie: Miszewski, Zerych, Żurakowski.

K. L.

NOWE KSIĄŻKI

Eligjusz Niewiadomski. Malarstwo polskie XIX i XX wieku. Warszawa, 1926. M. Arct. Str. 346 z wielu ilustr.

I. K. Iłłakowicz. Opowieść o moskiewskiem męczeństwie. Złoty wianek. (Poezje). Warsz. 1927. F. Hoesick.

Janina Lasocka. Romantyczne pomysły. Warsz. 1926. Bibl. dzieł wybor.

Zdzisław Dębicki. Kasprowicz poeta-bibljofil. Warszawa 1926. Gebethner i Wolff. Str. 42. Z portretem Kasprowicza przez Skoczylasa (egz. Nr. 47).

Ludwik A. Birkenmajer. Mikołaj Wodka z Kwidzyna, zwany Abstemius, lekarz i astronom polski XV st. Toruń 192. Tow, Nauk. Str. 164.

Tadeusz Glemma ks. dr. Kronika Benedyktynek Chełmińskich (1578 — 1619). Toruń 1926. Tow. Nauk. Str. 78.

Zygm. Mocarski. Bibljografja prac Tow. Naukowego w Toruniu 1975—1925. Toruń 1925. Tow. Nauk.

Na nowe drogi odrodzenia społecznego. Praca zbiorowa. Poznań 1926. Związek Odrodzenia Nar. „Praca". Str. 55.

Józef Pollak. Ślepcy. Powieść. Warsz. 1926. Bibl. Domu Pol.

Sygurd Wiśniowski. Dzieci Królowej Oceanji 2to my. Warsz. 1926. Biblj. Domu Pol.

Zorza. Kalendarz ilustr. na r. 1927 pod redakcją K. Wierczaka. Wyd. „Zorzy". Warsz. Jerozolim. 17. Cena 1.50.

St. Micewicz, inż. Problem azotowy oraz jego znaczenie gosp. i wojenne. Lwów 1926. (Odb. z Przyrody i Techniki). Str. 20.

Kap. Marryat. Przygody młodego żeglarza. Powieść z końca XVIII w. Z ilustr. Poznań 1926. Księg. Św. Wojciecha. Str. 553 (dla młodzieży).

Julja Jaworska. Zatartym szlakiem. Powieść dla młodzieży. Z ilustr. Poznań 1926. Św. Wojciech. Str. 163.

Józef Rączkowski. Polityka i miłość. Komedja obycz. w 4 aktach. Poznań 1926. Sw. Wojciech.

Beata Obertyńska. Pszczoły w słoneczniku. (Poezje). 1927. Biblj. Medycka. Str. 80. Skład u Altenberga we Lwowie.

Karol Nosovsky. Slavica ceska a slovenska za lata 1914 — 1925. Praha 1926. Slov. Knihovna Minist. Zahr. veci. Str. 122 w 4-ce.

Przegląd Powszechny, grudzień.

Przegląd Polityczny, Warszawa, listop., zesz. 3—4.

Ateneum Kapłańskie, listopad. Włocławek.

Ruch Literacki. Warsz. listopad 1926, nr. 9.

NA MARGINESIE

Poszukiwacze wspaniałych skutków przewrotu majowego nietylko wyławiają z jego mętnej wody najdrobniejsze rybki, z rozgrzebanych śmietników dobywają najmniejsze ziarenka, wydmuchują z namydlanych słomek barwne bańki,ale gotowi byliby nawet ciepłe dni ubiegłej jesieni zaliczyć do jego cudów. Więc orędzie Dmowskiego o potrzebie nowego zorganizowania społeczeństwa ogłaszają za wynik owego przewrotu. Przedtem — powiada tygodnik Przełom — „nie potrafił tych wynurzeń z siebie wydobyć". Tu nasuwa się scholastyczne pytanie: czy przed zaśmieceniem ulicy stróż nie potrafił, czy nie potrzebował jej zamieść?

*

W obecnych czasach zdarza się wiele rzeczy, z których, jak to mówią i „końby się uśmiał". Do takich należy szerzony przez pewien odłam prasy, kult kasztanki Józefa Piłsudskiego. Niedawno „Kurjer Czerwony" poświęcił cały numer (259) tej starej kobyle, a z entuzjazmem pisał o niej i „Kurjer Poranny", drukując są zawsze przez duże K. Żywcem przypominają się owe czasy, gdy łużalczy senatorowie rzymscy padali na twarz przed koniem Kaliguli, Incitatem... Zresztą czołobitność ta jest całkiem wytłumaczona. Bądź co bądź, kasztanka ma większą głowę, niż jej adoratorowie...

*

„Wiadomości Literackie" (№ 48) tak piszą w recenzji o „poemacie" B. Jasieńskiego (autora „Buta w butonierce") p. t. „Słowo o Jakóbie Szeli":

„Głęboki pesymizm chłopski, zadokumentowany pieśnią ludową, świetnie wyraża się w takich np. strofach:

Prędko się, serce z śmiercią pojedna,
Na grzędach duszy wypielesz chwast —
Do beczki nieba Niebieski Bednarz
Nabija nocą gwoździe gwiazd.
Wiecznież się będziem tułać w tej pace
Kłębkiem skrwawionych ramion i nóg
Z krwi naszej ciepłej okrągłe mace
Wypieka w niebie cadyk — Bóg"

Przedziwnie ci ludzie z „Wiadomości Literackich" wyobrażają sobie psychologię polskiego chłopa! A może w chwilach „najgłębszego" pesymizmu lud polski poprostu dobywa ze swej piersi okrzyk: „Aj waj mir!"

ZAPROSZENIE DO PRZEDPŁATY

W r. 1927 „Myśl Narodowa" będzie wydawana na dotychczasowych warunkach.

Byłoby to z wielką korzyścią i dla czytelników pisma i dla interesów literatury, którym pismo służy, aby ono mogło jaknajprędzej wrócić do dawnej postaci tygodnika. A to zależy tylko od poparcia materjalnego przez inteligencję, dla której pismo jest wydawane. Program pisma jest rozległy, obejmuje bowiem wszystkie dziedziny twórczości, jako jedną całość — od politycznej aż do poetyckiej. Gdybyśmy zeszyt przepołowili na tygodnik, to on dawałby treść ułamkową i pismo straciłoby swój charakter. Tygodnik musi być też obszerny. Skalkuluje się, skoro będzie wielu odbiorców. Jeszcze trochę wysiłku ze strony ogółu, który takiem uznaniem „Myśl Narodowa" otacza, a dojdziemy do pożądanej równowagi. Byłoby wstydem dla polskiej inteligencji, gdyby takie pismo nie mogło należycie się rozwinąć.

Jednocześnie, propagując pismo, umysłom zmanjerowanym polityką partyjną, gubiącą między partjami cel główny — sam naród, trzeba wybijać z głowy, że pismo narodowe jest przez to samo partyjnem. Naród i jego rozwój nie są imprezą jakiejś partji. Było modne wśród inteligencji uznawać wyraz „naród", ale nie zajmować się tem, co to pojęcie zawiera, szanować wyraz katolicyzm, ale omijać religję; to się powinno skończyć, jako się kończy wszelka niedojrzałość. Cywilizacja narodowa, której „Myśl" nasza służy, jest dla wszystkich stronnictw. Ostatecznie, jeśli pozwolimy sobie wszędzie wmawiać politykę partyjną, to w końcu wmówią nam, że moralność jest własnością jakiejś partji. Nie dajmy się terroryzować mistyfikatorom.

W ciągu pięciu kwartałów istnienia „Myśli Narodowej" w dzisiejszej postaci literackiej, na jej szpaltach pisało z górą stu pisarzy, ogarniętych tą właśnie ideą stwarzania wielkiej Polski we wszystkich jednocześnie dziedzinach i wytykających linje ideowe tej budowy cywilizacyjnej.

Na przyszły rok mamy ich współpracę zapewnioną. A coraz — i to jest naszą największą otuchą — przybywają nowi pisarze młodzi, lub przechodzą do naszych szeregów pisarze na ideologję narodową nawróceni.

W nowy rok 1927 wstępujemy z dobrą myślą, że idea wielkiej cywilizacji polskiej zapanuje, już powszechnie, w umysłach inteligencji polskiej — nad narzucanemi jej hasełkami pomniejszania, parcelowania i wstydzenia się Polski.

Skupiajmy się pod sztandarem dumy, wiary, wiedzy i miłości narodowej!

Do zeszytu niniejszego dołączamy kartkę tytułową ze spisem rzeczy t. II z r. 1926. Kartkę tą trzeba przed oprawieniem kompletu odciąć i dać na wierzch

Konsumcja tytoniu w Polsce.

Pośród ogółu dochodów państwowych z monopolów i danin publicznych (te ostatnie obejmują podatki: bezpośrednie, pośrednie i majątkowy oraz cła i opłaty stemplowe) dochody z opodatkowania tytoniu (t. j. akcyzy i monopolu łącznie) stanowiły w latach 1922 i 1923 około 10%, w latach 1924 i 1925 (w drugiej połowie r. 1924 zniesiono fabrykację prywatną i płacono od niej akcyzę a wprowadzono monopol pełny i wyłączny) około 13 — 15%, w pierwszej połowie r. 1926 wynosiły 17½% w drugiej zaś stanowią około 20%. Łącznie z tem jednak, właśnie w ostatnich czasach z coraz wyraźniejszem wzmaganiem się dochodów państwowych z tytoniu, coraz więcej pojawia się także głosów zarzucających gospodarce Państwa na tem polu zbyt słabe wyniki a opierających swe twierdzenia głównie na zbytnio nizkiej konsumcji tytoniu w Polsce. Dlatego warto zająć się tą sprawą w sposób rzeczowy i ścisły.

Dotychczasowe oszacowania pod tym względem ogromnie są rozbieżne. Przed pół rokiem jedno z pism ogłosiło rozmowę z wybitnym finansistą amerykańskim, który twierdził, że Polska powinna z tytoniu mieć rocznie 100 miljonów dolarów; tylko że twierdzenie to, z któregoby wynikało, że tytoń winien nam pokrywać przeszło połowę budżetu państwowego, oparte było na zastosowaniu do Polski amerykańskiej konsumcji, a więc i amerykańskiej zamożności... Niedawno zaś obliczono roczną konsumcję naszą w jednem z pism na 35 — 42 miljn. kg. (1,25 — 1,5 kg. na głowę), w innem na 26 — 27 miljonów kg. Jakaż jest w rzeczywistości?

Za lata 1922 i 1923 statystyka wykazała około 10 miljonów kg. rocznej konsumcji, za r. 1924 już 12,5 w r. 1925 ta cyfra wzrosła do 17,5, prowizoryczne zaś obliczenia za rok bieżący pozwalają spodziewać się dalszego jeszcze wzrostu o 1 miljon kg. W przeliczeniu na głowę ludności odpowiada to 370 gramom w latach 1922—1922, 460 w r. 1924 i 640 w 1925. W czasach, gdy obok monopolu pracowały także fabryki prywatne, konsumcja nie dosięgała zatem 400 gramów na głowę, z chwilą zaś wprowadzenia monopolu podniosła się ponad 600 i stopniowo dalej rośnie.

Jaka była przed wojną? Dokładne daty posiadamy pod tym względem tylko co do b. zaboru austryjackiego, gdzie w r. 1913 konsumcja wynosiła na głowę: w Galicji 722 gramy, na Śląsku 1549, czyli przeszło dwa razy więcej. Porównanie ze stanem dzisiejszym jest na razie utrudnione z tego powodu, że: 1) wogóle dopiero od r. 1925 jako pierwszego roku istnienia pełnego monopolu można mówić na serjo o statystyce konsumcji, 2) w roku tym prowadzono jedynie statystykę wartościową, a dopiero od r. 1926 wprowadzono także ilościową.

Pod względem wartości tytoniu skonsumowano średnio przez jednego mieszkańca (daty z r. 1925 wskazują na ogromną różnorodność): w b. dzielnicy pruskiej, w zachodniej części woj. krakowskiego i w okolicach Warszawy wypadało na głowę przeszło 20,5 zł„ w przeważnej części reszty Małopolski i w okolicach Łodzi 15 zł., w reszcie b. Królestwa Kongresowego i na Wileńszczyźnie 9,5 zł. w okręgach zaś uprawy tytoniu (południowo-wschodnia Małopolska i Wołyń) oraz na Polesiu i na północnem Pomorzu ledwie 6,70 zł. Zachodnia połać Polski konsumuje zatem tytoniu na sumę 2 razy większą niż reszta Polski, a 3 razy większą niż okolice nad granicą wschodnią.

O ile chodzi o konsumcję poszczególnych gatunków wyrobów tytoniowych, rozbieżności między różnemi częściami Rzeczypospolitej są jeszcze o wiele znaczniejsze. I tak na obszarze trzech województw zachodnich konsumcja cygar w r. 1925 wynosiła przeszło 1,90 zł na głowę w okręgu poznańskim dochodząc do 2,75 zł., (w Małopolsce zaś była blizko 7 razy mniejsza (0,28 zł na głowę, na terenie województw środkowych wynosiła tylko 11½ grosza, w województwach zaś wschodnich nawet tylko niespełna półtora grosza. Podobnie z tabaką, której konsumcja, najsilniejsza na zachodzie (21 groszy na głowę), na południu jest mniejsza przeszło 4 razy, w części środkowej przeszło 14, na wschodzie zaś 35 razy. Mniejsze wahania wykazuje konsumcja papierosów, i tu jednak zachód (blizko 13 zł na głowę) znacznie wyprzedza terytorjum byłej Kongresówki (8,44 złote na głowę), Małopolski (5,29 złotye na głowę) i województwa wchodnie (3,42 zł. na głowę). Najsilniejsza jest konsumcja gotowych papierosów w okręgu warszawskim (15,77 zł. na głowę, gdy reszta byłej Kongresówki wykazuje od 3,67 zl. w Kieleckiem do 6,03 zł. w Radomskiem i 9,28 zł. w Łódzkiem), następnie w byłej dzielnicy pruskiej (poza północnem Pomorzem 13 — 15 zł. na głowę. Co do tytoni krajowych wreszcie prym wiedzie południe (8,87 zł. na głowę), przed byłą Kongresówką (4.99 zł na głowę). przed województwami wschodniemi (4,10 zł. na głowę) i zachodniemi (3,46 zł. na głowę), tym razem idącemi na końcu. Co do najtańszej jednak a najbardziej masowo (blizko 6 miljonów kg. w r. 1925) konsumowanej machorki wschód z konsumcją 2,55 zł. na głowę idzie na czele, Małopolska (0,25 zł. na głowę) na końcu. Te przykłady ilustrują rozmaitość konsumcji w poszczególnych częściach Państwa, zależną nietylko od smaku i przyzwyczajenia, ale i od położenia materjalnego (palenie przeważnie tylko najtańszych tytoni na wschodzie).

Zważywszy, że średnia cena 1 kg. wyrobów tytoniowych w r. 1925 wynosiła 21 zł. 22 gr. oraz że jakość konsumowanych wyrobów wyższa była na zachodzie niż na wschodzie, przyjąć możemy najwyższąkonsumcję w wysokości około 900 gramów, najniższą 400 — 500. O ile o Małopolskę chodzi, jest ona oddalona od konsumcji przedwojennej prawdopodobnie tylko o kilka proc.

Co do przyszłości, licząc się z nierównem w różnych częściach kraju przyzwyczajeniem ludności do tytoniu i z rozmaitym stopniem jej zamożności, możemy w stosunkach obecnych w przybliżeniu szacować normalną (t. j. tę do jakiej powinniśmy w najbliższych latach dojść) konsumcję na: 700 gramów w Małopolsce, 600 w byłym zaborze rosyjskim, ponad 1000 w b. dzielnicy pruskiej i do 1500 w okręgach przemysłowych, co łącznie stanowiłoby do 24 miljonów kg.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel, 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 6, rocznie zł. 24, za granicą kwart. zł.9. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. „A. Michalski", sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM